№ 7. Warszawa, dnia 1 (13) Lutego 1875 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI,

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAN I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia Nr 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

SŁÓWKO
o praktyczności w życiu kobiety.

List otwarty Do .....

PRZEZ JANA PRUSINOWSKIEGO.

Obarczyłaś mnie, młoda przyjaciołko moja nielada zadaniem, chcąc, żebym ci w krótkich słowach skreślił istotę, znaczenie i cel *praktyczności*. Słysząc tyle sprzecznych określeń tego pojęcia, wzywasz mnie, żebym ci pomógł sprowadzić je do jednego mianownika. Że zaś najczęściéj, *praktyczność życia*, przeciwstawią *praktykom miłości chrześcijańskiej* i miłosierdzia — zapytujesz z trwogą, czy nie jest to poprostu tytułowy wyraz, jednego z artykółuw czci *Złotego Cielca*, którą jeszcze Mojżesz, w imię starego zakonu potępił?.... Nie mając czasu do pisania uczonych rozpraw— przez wzgląd jedynie że nie masz już matki, która by cię natchnieniem poczciwego serca wesprzeć mogła, probuję odpowiedzieć na twoje zapytania, z zastrzeżeniem, że nie są to przepisy sformułowane ostatecznie, do których bezwarunkowo stosować się powinnaś, a tylko będą to wskazówki, które ci posłużyć mogą do należytego obejrzenia i poznania przedmiotu. Pamiętaj bowiem, że tylko w rzeczach wiary winniśmy się wystrzegać wszelkich sądów i mędrkowań, zawsze zgubnych i bezcelowych. Przeciwnie zaś, główne zasady społecznego życia, powinniśmy utrwalić w sobie własnem przekonaniem, opartem na zbadaniu i przeświadczeniu własnem. Wtenczas dopiero zdobędziemy samodzielność i możemy być pewni, że ani słyszane lub czytane sofizmata, ani złe przykłady i pokusy nie strącą nas z drogi powinności i cnoty.

Wiek nasz przez głębszą znajomość i umiejętne zastosowanie nauk przyrodzonych, dokonał tyle zbawiennych zmian i ułatwień w życiu potocznem, że wpłynął stanowczo na *zewnętrzny* rozwój społeczeństw. Przyklaskujemy temu kierunkowi działalności współczesnej, o tyle jednak, o ile nie staje się jednostronnym, przez lekceważenie i chęć zupełnego odrzucenia wszelkich zasad moralnych i duchowych. W ostatnich jednak czasach, jednostronność ta nawet u nas zapanowała niemal powszechnie — doprowadzając do smutnych następstw. Wówczas to *praktyczność życia*, w ciasnem pojęciu sprytnego załatwiania natychmiastowych potrzeb—i usuwania wszystkiego co na drodze dojścia do dobrobytu zawadzać może, uważaną bywa za ostatni wyraz ukształcenia. Przepisy religijne, względy moralne i społeczne — i wszelkie warunki osobiste, nie wchodzą tu w rachunek—i jednostka ludzka bez względu na wiek i płeć — ocenianą jest tylko, w miarę wykazanej siły i zręczności, w prowadzeniu na własną rękę, nieustannego pojedynku z całą społecznością — pojedynku, zwanego *walką o byt*.

Zaprawdę przy tak smutnem pojęciu celu życia, tracimy wzniosły charakter człowieczeństwa, pozbawiamy się wszystkich zdobyczy cywilizacyi i zniżamy się sami do rzędu zwierząt. Wyłączna troska o byt materyalny, zupełne zadowolenie wynikające z zaspokojenia potrzeb zmysłowych, nie wypełniają naszych przeznaczeń, zostawiają próżnię w sercu i duszy, a nawet w umyśle i pozbawiając nas koniecznej harmonji władz wewnętrznych, narażają na nieoczekiwane zawody, nawet w przeprowadzeniu interesów materyalnych.

Zwolennicy wyłącznego materyalnego kierunku, dla usprawiedliwienia błędnych swoich teoryi, wygłaszają w liczbie innych, dwie następne zasady:

1-o Że rozwój uczucia i nastrój duchowy, narzucając zbyteczne troski i cierpienia, przeciążają tylko niepotrzebnie życie.

2-e Że czynniki te moralne i duchowe jako niezdolne wpłynąć na rozwój środków materyalnych, należy całkowicie zaniechać i wykreślić z programu kształcenia przyszłych pokoleń.

Pomijając cyniczną stronę obu tych zdań, postaram się wykazać nietylko ich teoretyczną nicość — ale nawet *praktyczną* ułomność.

Nie myślę zaprzeczać, że moralne i duchowe wykształcenie, jednocząc nas nie tylko z własną rodziną i z osobami bliższemi sercu, ale z całem społeczeństwem do którego należymy i z ludzkością całą, staje się zarazem powodem, wielu trosk i boleści, nieznanych dla odosobnionego samoluba i spekulanta. Lecz, czyliż ten nienormalny spokój, ta zbrodnicza obojętność na wszystko co nie dotyka bezpośrednio naszej jednostki, zgadza się z naturą, z przeznaczeniem człowieka? Czy cierpienia rodzinne, społeczne i ogólnie ludzkie, nie nagradzają się stokroć, nietylko doznawanem *współczuciem* — ale nawet, *samem uczuciem boleści drugich?* Biada, kto nie doznał tej najwyższej rozkoszy, jaka nas ubłogosławia przy spełnieniu dobrego uczynku, wywołanego poświęceniem i zapałem, lub nawet, współczucia dla drugich, żeby czynnie naszą gotowość do niesienia pomocy okazać!

Nie są to wcale rozkosze urojone, a tylko nieznane dla ludzi, którzy niedoszli do poznania swego człowieczeństwa, albo się go wiarołomnie wyparli.

W zamian tego wzniosłego stanowiska, cóż daje *mniemana praktyczność*, oparta wyłącznie na materyaliźmie? Daje nam nasycenie zmysłowe, po którem skoro jest doścignione, następuje przesyt, a w najszczęśliwszym razie, z latami, zmysły wypowiadają swe posłuszeństwo i z takim trudem nagromadzone zdobycze materyalne, zostają bez użytku i wartości. Wychodzimy nielepiej, jeżeli w pełni sił życia, wypadek pozbawia nas materyalnych zasobów, na których zasadzaliśmy całą szczęśliwość i cel życia. Najnieforłtunniej, jeżeli z próżnią w sercu ze wzgardą dla pojęć duchowych, napróżno sięgamy świętokradzko po dary ziemskie, jako jedyny cel życia, trosk i nudów. W każdéj z tych przemian, jesteśmy sami — zawsze sami! Wszelkie nasze stosunki są kupione—*dzierżawione* raczej, dopóki możemy za nie opłacać. Na

starość, ze środkami nawet, stajemy się wstrętną zawadą dla tych, którzy wedle prawa tylko ale nie z krwi i uczucia, uważają się za naszych spadkobierców. A jeżeli nie możemy się zaopatrzyć w środki jakkolwiek odpowiednie, uważani jesteśmy—jako materyał nieprodukcyjny, cenieni na szelągi.

Obraz to zresztą za nadto znany i spowszedniały i nieprzerażający samych materyalistów. Praktyczność życia, powiadają oni, zależy właśnie na tem, żeby koniecznie zdobyć donośne środki, żeby potrafić je utrzymać i wyczerpać cały zarób użycia, zanim nadejdzie niedołężna starość; której można uniknąć.... choćby przez samobójstwo. Kto więc nie dosięga celu na drodze praktyczności, sam sobie winien, a zasada praktyki zależy na tem, że szczęście polega jedynie na nasyceniu zmysłowem, że duch, uczucie i oparte na nich stosunki z ludźmi, są tylko mrzonką, nie mającą praktycznego zastosowania... Przychodzi mi więc, z niemałym wstrętem złożyć dowody, że zasady moralne i duchowe, nawet pod względem praktycznym są konieczne, w życiu zarówno jednostek, jak i całych społeczeństw; i że wykreślając je z programu — kształcenia młodzieży, pozbawiamy naszych wychowańców głównej dźwigni życia.

Życie nasze zaczyna się niemowlęctwem. Któż niemowlęciu zastąpi kochającą matkę, wspieraną przez równie kochającego ojca? Statystyka dowodzi, przerażającą śmiertelność dzieci, oddawanych na mamki lub do domów sierot i podrzutków. I w obec tych wymownych faktów, niejeden niewdzięcznik, wypiastowany przez matkę, lub w jej zastępstwie przez starą krewnę lub przyjaciołkę, chciałby złośliwą śliną swoich mędrkowań, zagasić święty płomień miłości rodziny i świętego ogniska domowego.

Z ustawami obowiązującemi prawa, z obowiązkami względem społeczeństwa i siebie oznajmiamy się dopiero później. Pierwsze zasady moralności, które są treścią wszelkich ustaw i wszelkich obowiązków, któż w nas wdraża, jeżeli nie matka lub cichych cnót i prostego serca niewiasta, która z religijnego poczucia, zastępuje jej miejsce?... Ochronki i wszelkich nazw przytuliska, niezdolne są pomieścić wszystkiej dziatwy, niemającej rodzicielskiego dachu i rodzicielskiej opieki. Miłosierdzie prywatne ma szerokie pole działania, a zresztą, każdy zakład publiczny, choćby kierowany najstaranniej, najszczerzej, ma pewną cechę urzędową, pewne konieczne formy, nie dające tego ciepła, jakiem osobista troskliwość otoczyć jest zdolna.

To soma da się powiedzieć o chorych. Chory, staje się niemowlęciem, zostającem na łasce drugich. I w szpitalach nie ma także miejsca dla wszystkich— i najlepiej urządzony szpital, nie zastąpi troskliwej opieki matki: albo przychylnej staranności niewieściej.

Szkoły publiczne, oczywiście *bezwyznaniowe*, powiadają nasi reformatorowie, są jedynem źródłem, z którego młode pokolenia mogą i powinny czerpać zasoby ukształcenia. Bezwątpienia, szkoła publiczna, byle *nie bezwyznaniowa*, to jedyne miejsce systematycznego kształcenia młodzieży... Ale nie każdy ma środki do niej się dostać i w niej utrzymać się. Stypendya niewystarczają dla wszystkich kandydatów— i nie każdy chłopczyna ma rodziców, którzyby go do drzwi tego przedsienia oświaty zaprowadzili. Miłosierdzie i współudział prywatny, niemały dostarcza kontyngens szkolny, a żeby pokrewnemu, a tembardziej obcemu dziecku, otworzyć pole do nauki i wesprzeć w pierwszych stanowczych chwilach, na to trzeba czegoś więcej, niż zbójeckiej zasady, *walki o byt* — trzeba uczucia — trzeba miłosierdzia i miłości płynących z Wiary.....

Dodajmy do tego, nieprzeliczone fakta przypadkowe, w których jedynie *uczucie ludzkie bezinteresowne*, wraca nadwerężoną harmoniję społeczną. Składki na okolice nawiedzone przez epidemiję, pożary lub powodzie, natychmiastowa osobista pomoc dawana pogorzelcom i utonionym, zajęcie się podróżnym, lub cudzoziemcem, niebędącymi w stanie dać sobie rady na razie—otworzenie stosunków, młodym uczonym, artystom, lub rzemieślnikom—czyliż to wszystko dałoby się tak ułożyć, przez pośrednictwo kantorów lub faktorów, jak się układa przez popęd uczucia ogółu lub jednostek?.. Fałszem więc jest, że rozwój uczucia i nastrój duchowy, są zawadą na drodze *uczciwej* praktyki życia, uchylenie tych czynników z programu kształcenia młodzieży, nie tylko nie przyniosłoby praktycznych korzyści, ale owszem stałyby się dla społeczeństwa powodem, niepowetowanych strat ekonomicznych.

Przedewszystkiem więc, jeżeli chcesz być *uczciwie praktyczną* kształć swoje serce i swoją duszę. Każda religija jest dobra, bo w zasadzie każdej religji, jest zasada dobra. Korzystając jednak z tego, że pochodzisz z rodziny chrześcijańskiej, bądź czystą i niepokalaną solą mądrości prawdziwej, bo na taką cię błogosławił symboliczny obrzęd chrztu świętego, który ci drogę życia otworzył—pamiętaj, że wszelka wiedza ludzka, rozwija się stopniowo, pracą wielkich umysłów — i nie doszła i nie dojdzie nigdy do ostatecznego słowa wiedzy bezwzględnej.... Jedne przepisy moralności, zamknięte w Boskiem słowie Ewangelji, nie ulegają rozwojowi, zostały i zostaną na wieki, w tej skończonej pełni, w jakiej nam były dane. Ten charakter moralności skończony, najwyraźniej świadczy o wyższem jej pochodzeniu, a zarazem o tem żeśmy tu *cudzoziemcami* na tym świecie.

Lecz zapytasz, jaką ma być praktyczność twojego życia, zastosowana do wymagań chwili? Żeby ci na to odpowiedzieć, muszę znowu cofnąć się w przeszłość.

Dawniej, i aż prawie do naszych czasów, jedynie rodziny drobnych kupców i mieszczan, rzemieślników i włościan, rozdzielały pomiędzy siebie, pracę swego stanu, odpowiednio do sił i uzdolnienia, pod przewodnictwem ojca rodziny. Przeciwnie, w innych, uprzywilejowanych klasach, nietylko w rodzinach zamożnych ale i w mniej zamożnych, a nawet zależnych od pracy wyższego rzędu, cały ciężar zarządu majątkiem lub zdobywania środków życia, zostawał wyłącznie przy ojcu rodziny. Władza żony ograniczała się domem i gospodarstwem kobiecem. Ojciec sam często wbrew woli i powołaniu, wskazywał drogę synom — a córki pod okiem matki, korzystały z opiekuńczych rodzicielskich skrzydeł bezwiednie. Wyręczały niby matkę ale jedynym ich celem było wyjść za mąż i pod przewodnictwem męża, przewodniczyć też domowi i córkom.

Jeżeli jaką pannę ominęło za mąż pójście, po śmierci rodziców zostawała w pokrewnym lub obcym domu wnosząc tam swój posag lub wywdzięczając się za chleb i kąt, piastowaniem dzieci, noszeniem kluczyków i t. p. Jeżeli śmierć żyjącego z pracy szlachcica zostawiła wdowę i sieroty, znaleźli się zamożniejsi krewni, którzy im nie dali zaginąć, albo sama matka dawała jakąś radę sobie i dzieciom. Środki życia były proste i łatwiejsze, nauka szkolna o tyle tańsza i dostępniejsza — że często biedny chłopiec dodany do usług panicza jadącego do szkoły, chodził z nim razem do klasy—i nierzadko prześcigał go i dobijał się stanowiska.

Ten stan pewnych warstw naszego społeczeństwa, jakkolwiek wadliwy, uświęcał się poczciwą tradycyą i znajdował podtrzymanie w ogólnym ustroju naszego społeczeństwa, zasadzającego się na przymusowej pracy włościan i braku konkurencyi naukowej, ze strony kupiectwa i mieszczaństwa.

Takie kastowe rozgraniczenia składowych części ludności krajowej, biorące początek w instytucyach wieków średnich, usprawiedliwiało się duchem i wymaganiem czasu. Każdą chwilę dziejową winniśmy sądzić z właściwego jej stanowiska, gdyż inaczej popadniemy w błąd a nawet w dziecinną śmieszność. Rozwój cywizacyi, miał i mieć będzie swoje epoki — w których stopniowo, zdobywać będzie coraz wyższe i jaśniejsze pojęcie *prawdy względnej*. Arystotelesa i Platona, nie raziło niewolnictwo a nawem pierwszy z nich, uważał je za stan przyrodzony — pomimo to jednak zajmują oni honorowe miejsce w panteonie cywilizacyi. Nie ulega wątpieniu, że przyszłość bliższa i dalsza odszuka w naszych dzisiejszych pojęciach i instytucyach, rażące błędy chociaż nas one nie rażą, i usunie je nie mając przecie prawa potępić nas za barbarzyństwo i ślepotę. Dojrzą oni jaśniej i dalej, jak my — wsparci na nas jak my wsparci na poprzedzających nas pokoleniach, dojrzeliśmy jaśniej i dale od nich.

Nie potępiajmy więc i naszego społecznego stanu, jaki, chociaż już chwiejnie, istniał jeszcze przed kilkunastu laty. Starajmy się tylko zbadać ujemną jego stronę, w obec dziś istniejących pojęć i instytucyi, i zastanówmy się, jakich środków potrzebujemy, żeby iść bezpieczniej przez otwierające się przed nami drogi nowe.

Mówiąc wyłącznie do ciebie moja młoda przyjaciołko — pomijam wszystko co dotyka kształcenia i kierownictwa młodzi męzkiej; mieć będę na celu, tylko kobietę.

Znając dawniejsze stanowisko kobiety, w naszem społeczeństwie — przejdźmy je szczegółowo, w dobrej i w złej doli i zastanówmy się nad jego dobrą i złą stroną.

Nie było i może nie będzie, nie powiem szczęśliwszego ale *latwiejszego* życia jak życie naszej kobiety, nie tylko w zamożnej ale nawet w jakkolwiek dostaniej rodzinie, jeżeli tylko od kolebki do grobu, otaczali ją swoją pieczołowitością, rodzice i mąż, wsparci odpowiedniemi środkami... Tylko bajeczne wróżki mogły udarowywać życiem tak podobnem do urzeczywistnionych marzeń.

W chwili przyjścia swojego na świat, szczęśliwa dzieweczka, znajdowała gotową kolebkę, całą niemowlęcą wyprawę i koszulkę do chrztu. W miarę dni, tygodni, miesięcy, lat — zmieniały się stroiki, zabawki i piastunki. Z kolei następowała nauka z miłośnych ust matki, poprzedzona pacierzem, nagradzana cukierkiem, ciasteczkiem, wstążeczką, albo jakąś niespodzianką. Babunie, ciocie, młode kuzynki a nawet sąsiadki i starzy sąsiedzi, czeladź nawet słowem wszyscy, nietylko pamiętali o dniu urodzin i imienin panienki, ale przy każdej zręczności, radzi byli czemś jej przysłużyć się i wywołać uśmiech na jej rozpieszczone usteczka. Do dalszych nauk, starano się zaopatrywać w nauczycielki i nauczycieli znanych z łagodności i uprzejmego obejścia. Nauka zawsze odbywała się w domu i zawsze pod serdeczną strażą matki, i jakaż to była nauka! Na czele, trochę więcej lub mniej francuzczyzny lepszego lub gorszego gatunku — trochę jeografii, historyi i trochę liczb— bo lękam się nazwać matematyką czy prostą arytmetyką, znajomości dziesięciu znaków liczebnych ze słabą kombinacyą czterech pierwszych działań. Ze sztuk pięknych — muzyka na fortepianie, czasem doprowadzona do artyzmu, prawie częściej kończąca się na kilku dumkach i sztuczkach do tańca, a niekiedy i rysunkach ze wzorów kończących się zawsze na studyum jakiejś nieszczęśliwej głowy, brodatej lub niebrodatej. Pod koniec edukacyi, wyobraźnia młodej panny znajdowała, odpowiednio do charakteru domu, polskie albo francuzkie poezye i powieści dawane zwykle bez wyboru.

Podczas całego kursu nauki, trwającego najdłużej do lat piętnastu lub szesnastu, wszyscy w domu ulegali panience, a gdy rozkwitła w pełni wdzięków, stawała się bóstwem i pychą rodziców. Na czas świąt zapust, imienin i wszelkich przygodnych uroczystości w domu i za domem, u krewnych i sąsiadów, nauki się zamykały i panienka, odpowiednio do lat, brała czynny udział w zabawie. Gdy zaś przywdziała długą sukienkę — i uznaną zostawała za pannę skończoną, błogosławiony jej stan dochodził do apoteozy. Matka patrzyła w nią, jak w cudowny obraz, ojciec stawał na czele wszystkich admiratorów i konkurentów, gotów na każde skinienie córki, szczególniej gdy była jedynaczką; wszyscy zaś w domu, pierwej zwracali się do niej, jak do rodziców! Przy powszechnej dawniej galanteryi młodzieży, (dziś szukającej tryumfu dobrego tonu, w niegrzeczności, a przynajmniej lekceważeniu kobiet,) młoda panienka stawała się bożyszczem, odbierającem, przy każdej zręczności, hołdy, składane z celem albo nawet bezcelowe oznaki uprzejmości. Niebezpiecznie by było obrazić kobietę. Nie tylko ojciec, mąż, brat, i krewny, ale nawet ten lub ów z koła znajomych, skarcił brutala, szablą lub kulą go nauczył, albo sam z uczuciem spełnienia powinności społecznej, pierś na cięcie nastawił. Obraza kobiety była obrazą społeczną, i było dobrze. Dopiero kobiety mniej szanowane w towarzystwie, poczęły same siebie mniej cenić — a młokos pomijający z lekceważeniem lub impertynencyą młodą panienkę lub poważną damę, nie uczci z pewnością własnej żony i nie wychowa córek na pożytek i chlubę rodzin. Ale wróćmy do naszego obrazka.

Prędzej czy później panienka wychodzi za mąż. Konkurent musiał pierwej prosić, o *pozwolenie* starania się o jej rękę! Było w tem coś pięknego, coś dziwnie uzacniającego dziewicę, co może dziś mniej da się pojąć. W rzeczy zaś oprócz zbadania woli panny, był to czas próby, dla osobistego poznania przymiotów starającego się, i bliższego przejrzenia jego stosunków, koligacyi i majątkowego stanu... Nie śmiejmy się: w swoim czasie miało to swoje znaczenie, chociaż często dośledzenia te, szczególniej pod względem majątkowym i moralnym, zawodziły najfatalniej.

d. c. n.

KLIN KLINEM.

NOWELLA

PRZEZ

J. J. KRASZEWSKIEGO.

Similia similibus curantur.

(Ciąg dalszy).

Obróciła się do wchodzącego męża z wyrazem wzgardy i tonem nakazującym rzekła:

— Proszę jutro o konie do Żytomierza, jeźli pan nie chcesz abym poszła piechotą.

— A ja, proszę cię, kochana Sewerynko, nim stanowczy krok przedsięweźmiesz, odparł zimno mąż— zastanów się dobrze. Gwałtem nikt cię nie zatrzyma. Jakkolwiek cię kocham, miłości mojej narzucać ci nie będę. Nie na różach spędziłem i ja te dwa lata pożycia naszego, alem miał do dziś dnia nadzieję, że lépiej może poznasz i ocenisz, że się pogodzisz z losem, nie tak nieznośnym jak ci rozdrażniona wystawia imaginacya.

Jeszcze czas — dodał — zastanów się, proszę.

— Nie potrzebuję nauk — odparła kobieta dumnie — te dwa lata nauczyły mnie dosyć... na całe życie. Postanowienie moje jest nieodwołalne... rozwód — tak...

Blada twarz męża, zbladła mocniej jeszcze, drgnął — westchnął i kilka kroków w tył odstąpiwszy, siadł na krześle u stolika podparłszy się na ręku.

— W tem wszystkiem — począł po chwili, przyszedłszy do siebie — jest coś więcej niż wstręt do mnie — jest zapewne przywiązanie do kogo innego...

Domyślam się że Bernard Zniński, któremu delikatnie odmówiłem wstępu do mojego domu...

Kobieta zwróciła twarz zaczerwienioną.

— Nie potrzebuję się tłomaczyć — rzekła.

— A'e ja czuję się w obowiązku przestrzedz... Bernard nie jest jeszcze zupełnym panem swej woli, matkę ma surową i pobożną... Ona mu nie pozwoli na ożenienie, a wątpię by duma pani zgodziła się na inne stosunki... To młokos... Nie chcąc słuchać pani Seweryna ruszyła się z miejsca poważnym krokiem, dumnym wzrokiem zmierzyła męża, i poszła ku drzwiom na prawo, silnie je zatrzaskując za sobą... W drugich drzwiach które słychać było otwierające się po chwili, zakręcono kluczem... cisza zaległa pokoje..

Gospodarz jak wryty, pozostał długo w krześle— myślał... Widać było że nie wiedział co począć z sobą... Wstał jak upojony, w pierwszej chwili zmuszony o stół się oprzeć, bo mu się nogi zachwiały, potarł ręką po czole, strząsnął się, otarł prędko łzy, które mu nabiegły do oczów, i skierował się machinalnie ku verandzie...

Tu, popatrzywszy chwilę w ogród, przymknął drzwi, przeszedł się po pokoju, i kilka razy chwytając za klamkę, aby wyjść powracał nazad — Siadł na dawnem, miejscu pasował się z sobą — dopóki nie zwyciężył chwili jakiegoś bólu i zwątpienia.

Twarz która była przybrała wyraz niemęzki, wyjaśniać się zaczęła powoli... Jeszcze raz łzy starł ruchem ręki z powiek i jakby gwałt sobie zadając żywo wybiegł z salonu.

Rozstawszy się z Seweryną, pan Bernard jakiś czas jeszcze błądził, wśród moczarów i zarośli, sam nie wiedząc dobrze co robi;—szedł, powracał, siadał na spróchniałej kłodzie, wstawał, włosy długie przebierał rękami, jakby mu ciężyły, twarz jego to smutniała to się jakiemś szczęściem uśmiechała. Lecz do uczucia tego mieszał się niepokój widoczny. Dodawał sobie męztwa naprożno, znać w nim było człowieka niepewnego siebie i zakłopotanego szczęściem własnem...

Mrok padał co raz gęstszy, i niebo zaczynało przybierać tony sine i zimne wieczora, gdy wydobywszy się z łoz i zarośli pan Bernard z dziupli wypróchniałej wierzby, dobył schowaną w niej dubeltówkę, zawiesił ją na ramieniu, i krokiem pewniejszym poszedł ku grobli... Wiodła ona ku młynowi i karczemce, przy której widać było, na pniaku siedzącego chłopca, trzymającego dwa osiodłane konie... Groblą szli z pola ludzie z pługami i bronami, pędzono bydło i owce, i nasz myśliwy musiał się trzymać, po za wierzbami, któremi osłoniona była grobla, aby te wieczorne mijać pochody.

Niektórzy przechodnie pozdrawiali go, inni zdala, z ukosa nań spoglądali — pan Bernard szedł jak gdyby nie bardzo chciał być widzianym. Młynek szybko przeminął i doszedłszy karczemki, chwycił z rąk chłopaka cugle, aby skoczyć na konia... Wierzchowiec kręcił się trochę... a turkot nadjeżdzającej bryczki, spłoszył go bardziej jeszcze.

Ukazała się ona wkrótce i przed karczemką wstrzymała. Na bryczce siedział mężczyzna średnich lat, rumiany i przystojny. Nie znając go nawet, można w nim było poznać starego kawalera. Uprząż oznajmywała jednego z tych miłośników koni, na Wołyniu wówczas głośnych, których bałagułami zwano. Była to wesoła młodzież do której się i starsi przymieszywali, wiodąca życie bujne, a zabawiająca się koniarstwem... i po staremu—tężyzną. Bałagulstwo nie było w istocie czem innem, tylko przypomnieniem tężyzny, z czasów księcia Józefa i jego towarzyszów.Polor tylko jaki tężyznie ówczesnej nadawali XX-a de Ligne, i sfrancuziała młodzież wychowana za granicą, znikł z tego naśladowania bezwiednego, a raczej z tego powtórzenia fenomenu, odnawiającego się jakimś atawnizmem psychologicznem.

Siedzący na bryczce, zobaczył zdaleka dosiadającego wierzchowca pana Bernarda, i wstawszy nagle, aby mu się przyjrzeć lepiej, bo ciemna noc już była, zawołał rękę złożywszy w trąbkę:

— Barnardzie złotowłosy — bywaj!...

— A!... pana Kalasantego!! odezwał się słysząc to młodzieniec, i przybrawszy ton wesoły... zkądże bogowie prowadzą?

— Wątpię ażeby Bogowie aż! odparł z bryczki się dobywając stary kawaler, który się zbliżył do Bernarda, a ten też cugle konia oddał chłopcu. Wątpię ażeby Bogowie prowadzili... ale wracam z jarmarku w Lubarze — kiepski był... Chciałem dostać sobie srokacza, i jednego poczciwego nie było! No — a wy zkąd?

Zadając to pytanie, popatrzał z uwagą, prychnął pan Kalasanty, i odwiódł na stronę Bernarda.

— *Na selo duryty!* odezwał się — fuzję masz na plecach... Koń stał przy karczmie... a jak gdyby kto mimo to nie wiedział, na jakie się wybrałeś polowanie i dokąd!

Zczerwieniał się młodzieniec, ale wieczór późny nie dał dojrzeć rumieńca...

— Co? co! gdzie! jak? ale...

— Ale — dajże ty mi pokój, rękę mu kładnąc na ramieniu pan Kalasanty... jam stary, doświadczony, a o tem już wróble pod strzechą świergoczą. *Na selo duryty!* powtórzył. Żonkę bałamucisz temu nieszczęśliwemu Fanteckiemu... Prawda że kobieta jak łania — żeś ty ładny i młody — ale jak się mama dowie, palnie ci morał na kobiercu, albo to panien na świecie mało że ci się mężatki zachciało...

Bernard naprożno ruchami rozpaczliwemi starał się ten potok wyrazów powstrzymać, i oglądał się bojaźliwie...

— Nikt nas nie słyszy — nie bój się — mówił dalej pan Kalasanty — ja ci radzę — po przyjacielsku rejteruj się dopóki pora — bo i z Fanteckim bieda być może. Ja go znam zdawna. Człek spokojny, cichy, wytrwany lecz z nim nie żartować. Tacy są najniebezpieczniejsi, słowa nie powie a w łeb ci palnie jeżeli cię złapie na schadzce... niechaj mnie trzęś — dodał, wypieraj się czy nie wypieraj — (tu do ucha mu się pochylił) — byłeś na *rendez — vous!*

— Wracam z polowania na kaczki! zawołał Bernard przestraszony.

— Na gęś i to nie dziką — rozśmiał się pan Kalasanty... Słychać cię perfumami, nos mam dobry...

Strzelasz doskonale, kaczek jest do stu dyabłów, gdzież zwierzyna?

J począł się śmiać.

— Co ty mnie chcesz obałamucić — starego wygę! ale — ale-- nie tylko ja ale calusieńkie sąsiedztwo bębni o tem.

Młodzieniec mimowolnie ręce załamał.

— Panie podsędku, panie Kalasanty dobrodzieju, zawołał głos tłumiąc — na miłość Bożą nie powtarzajcie takich rzeczy...

— Bóg z tobą, złotowłosy młodzieńcze, począł stary kawaler, Bóg z tobą — ja mogę milczeć dla przyjaźni twojej — ale to nic nie pomoże... Ludzie mają oczy, co więcej, takie sprawy ludzie nie patrząc zgadują... szydło w worku się nie utai... to darmo. Załapałeś się braciszku, a raczej piękna pani cię złapała i jeźli nie zapobieżysz temu wcześnie, zaprowadzi cię daleko.

— Pan Kalasanty dobył z za surduta fajeczkę krótką i korzystając z tego iż zmieszany pan Bernard nie odpowiadał, nakładając ją po cichu szeptał dalej.

— Wszyscyśmy młodzi byli — a ja, choć już latami się do najmłodszych nie liczę, czuję w sobie jeszcze wolę Bożą... Kobiety lubię... aleć, do kata, żeby tak czego jak tego, nie zbywa na nich... Koniecznie tej się waszmości zachciało, ktorej nie można .. ha? owoc zakazany!! tak! tak, smaczny! dla tego że zakazany! Ale za każdy taki kąsek przebolić trzeba i wziąść plagi — to darmo... Kochany Bernardku... zwiń chorągiewkę póki czas!!

I pogroził mu na nosie...

— Bernard stał zamyślony — nie chciał się przyznawać do niczego a był niespokojnym; w ostatku westchnąwszy rzekł.

— Któż mi może co zarzucić? a choćbym się i kochał... w mężatce... toć przecie nie ja pierwszy, ani ostatni.

— Ale jeźli komu, tobie to niepotrzebne — biedę sobie kupisz tylko... Znamy wszyscy szanowną matkę twoją, z nią nie ma co żartować. Bernard już niby nie zważając na tę gawędę, dobył cygaro i usiłował je zapalić...

— Jarmark był zły powiadasz? — spytał, zwracając rozmowę.

Pan Kalasanty się rozśmiał, ramionami ruszył, szepnął. — Groch na ścianę!! co z nim gadać — i dodał — Jarmark był ze wszystkiem lichy...

Stali chwilę naprzeciw siebie — w tem, jakby na odwagę się zbierając, Bernard wziął podsędka pod pachę.

— Bardzo szczęśliwie żeśmy się spotkali, wyjąknął trochę zakłopotany — miałem jutro u was być...

— To nic nie przeszkadza — proszę.

— Mam do was... prośbę.

— Podsędek głowę zwrócił.

— Wielką prośbę — nieśmiało dokończył Bernard..

— Jakąż to?

— Potrzebuję pieniędzy — szepnął złotowłosy.

Chwila milczenia nastąpiła, w czasie której stary kawaler głową kiwał dziwnie.

— Syn pani marszałkowej ze Stadnicy żeby u podsędka potrzebował pożyczać pieniędzy — rzekł — to coś tak osobliwego, że ludzie by uwierzyć nie chcieli, posłyszawszy. Mój dobrodzieju, a toć mama dobrodziejka, gotówką która u niej leży, kupiłaby mnie i wieś moją ze wszystkiemi bebechami mojemi: Zamiast wprost sięgnąć do matczynej szkatułki udajesz się do mnie — zły to znak, widać że matka nie daje i nie da... Jakże chcecie ażebym ja dał?... Coś w tem jest.

Bernard się zmieszał — wiecie jak mama jest oszczędna... no — grałem, mam długi honorowe, o których jej mówić nie chcę.

Kalasanty głową potrząsł.

— Młodzieńcze drogi, wiem że nie grasz! coś innego w tem jest.

Spuścił głowę pan Bernard i omijając pytanie, rzucił drugie.

— Nie chcecie mi więc dać!

Podsędek go uścisnął serdecznie. Bernasiu, kochanie, dałbym ci z pod serca; nie mając, pożyczyłbym dla ciebie, dług bym zrobił lichwiarski aby ci wygodzić — lecz — przyznaj się, w tem coś jest, ja się lękam, do zguby bym ci pomagać nie chciał.

— Uratujesz mnie! zawołał Bernard z gorącością wielką — dług, zobowiązanie, słowo...

— No — dobrze! — komu? ja zapłacę! zawołał Kalasanty.

Zmieszał się Bernard i odwrócił.

— Nie mogę powiedzieć!

— No — to ja ci powiem — rzekł odprowadzając go dalej na groblę Kalasanty, tak, aby ich rozmowy żadne ucho pochwycić nie mogło. — Chcesz Fanteckiemu żonę wykraść i rozwieźć.

Uderzył się w piersi.

— Jak Boga kocham, tak jest! tak jest, ty mi się nie wymawiaj, jam najbliższy sąsiad... ja wiem o wszystkich.

Mój strzelec was wyszpiegował we dwoje na schadzkach za ogrodem wieczorami, to nie bez kozery!

Bernard porwał się za głowę, a potem skoczył zatulając usta Kalasantemu.

— Na miłość Boga! strzelec? który! ja mu w łeb wypalę...

— Nie masz potrzeby, będzie milczał, bom mu srogo zakazał... ale widzisz że twoja tajemnica dla ludzi już nią nie jest. Młodzi a zakochani postępowaliście jak trzpioty.

— Więc taić nie będę — wybuchnął złotowłosy — tak jest, kocham ją, tak jest, rozwodzę ją i żenię się. Złodziejem nie byłem i nie będę — honoru cudzego nie chcę tknąć... Kocham tę kobietę — będzie żoną moją...

— A matka? — zapytał stary kawaler — czy myślicie że ona kiedykolwiek na to zezwoli...

— Gdy się stanie...

— Ale ona nie dopuści...

— Wyrzeknę się wszystkiego... dodał Bernard — dla niej.

— Ta! ta! ta! zawołał Kalasanty — to się tak mówi... Znam was, kochany Bernasiu i ją znam, piękna jest, ani słowa, ale jeźli z takim człowiekiem jak Fantecki wyżyć nie mogła, jeźli jej z nim źle było... cóż będzie z wami?

— Ona go nie kochała!

Kalasanty głową pokiwał, minę zrobił frasobliwą i poważną.

— Słuchaj — zawołał — tu nie o pieniądze idzie ale o los twój — pieniądze się znajdą, to głupstwo... lecz — Bóg świadek... ty nie widzisz w jaką lecisz przepaść — póki czas, cofnij się — zaklinam.

— Już nie czas! odparł Bernard, słowo dałem, kocham ją, oszaleję, życie sobie odbiorę, ale ona musi być moją.

Kalasanty spojrzał na niego chłodno.

— Ale to już późno — przerwał nagle — trzeba do domu śpieszyć mnie i wam. Do zobaczenia, Bernasiu... nie mówmy o tem, do zobaczenia...

Zbity tak z tropu tym chłodem Bernard, podał rękę drżącą i powlókł się za podsędkiem, który z pośpiechem siadł na bryczkę i kazał jechać furmanowi, żegnając jeszcze stojącego młodzieńca.

Ten, długi czas pozostał w miejscu, jakby nie pewny co pocznie, zwolna przystąpił do konia, siadł, i puściwszy mu cugle, pojechał w stronę przeciwną. Chłopak kłusował za nim w milczeniu.

Było około ósmej godziny wieczorem, gdy w dali, wśród drzew, nad stawem, ukazał się dwór otoczony znacznemi zabudowaniami. Była to Stadnica pani marszałkowej Znińskiej.

Wśród ciemności wieczora, na tle gęstwiny, w której stał dwór stary, świeciło w nim kilka okien — oprócz tego, kilka innych budowli oświetlonych, dom pański otaczało... Zabudowania ciągnęły się szeroko — a nie zbyt daleko od dworu — domyślać się było można wioski, w której gdzieniegdzie błyskały drobne okien szyby. Cicho było do koła, tylko młyn nad stawem szumiał i stukał niezmordowany.

Minąwszy go Bernard znalazł się wkrótce u bramy wiodącej w dziedziniec, którą chłopak zeskoczywszy otworzył. Dosyć było skrzypnięcia jej, ażeby się ktoś ukazał na ganku szerokim, podpartym słupami grubemi. Bernard nie dojeżdżając do niego skoczył z konia i pieszo się zbliżył ku domowi. Na wschodkach czekał nań już słusznego wzrostu mężczyzna, który mu się ukłonił nisko, zacierając ręce.

— Jaśnie pani już od godziny niespokojna o panicza — chcieli posyłać nawet.

— Ależ to nie tak późno — szepnął Bernard wchodząc żywo do oświetlonej sieni.

Odpowiedzi dostarczył stojący tu zegar stary, który właśnie sycząc ósmą wybijał.

Drzwi przeciwległe od salonu otworzyły się i w nich ukazała się głowa kobieca — bez czepka, we włosach siwych przyczesanych gładko.

Czarnemi oczyma spojrzała na przybywającego i odezwała się głosem łagodnym z wymówką.

— Ale jakżeś się mógł zabawić tak długo! taka byłam niespokojna!

Chłopak podbiegł do ucałowania ręki matczynej i razem z marszałkową wszedł do salonu.

Obszerny ten pokój oświetlała lampa i płonący ogień na kominie... Pani Znińska była poważną kobietą lat blisko pięćdziesięciu, ubrana starannie bardzo, ale czarno i bez żadnych błyskotek. Biały prosty kołnierzyk i podobne mankietki odświeżały ten strój nieco. Średniego wzrostu, dosyć dobrej tuszy, silna, matka pana Bernarda, wyglądała na to czem była, na kobietę wielkiego charakteru i mocy ducha, rozumną, nawykłą do kierowania wszystkiem co ją otaczało. Twarz jej niegdyś piękna, dziś jeszcze była uderzającą wyrazem powagi i chłodnej determinacyi. Rozumne oczy wejrzeniem zdawały się sięgać do głębi ludzi na których je zwracała.

Całe życie Marszałkowej świadczyło o jej niezłomnym charakterze. W młodym bardzo wieku, dziedziczka znacznej fortuny, pięknego imienia, pokochała ubogiego syna dzierżawcy swych rodziców, którzy ani słuchać nie chcieli o wydaniu jej za niego.

Panna Kornelia postanowiła czekać, odrzuciła wszystkie partye, oparła się naleganiom i wyszła wreście za tego którego kochała. Zniński żyli szczęśliwi lat kilkanaście — po śmierci męża, majątek i wychowanie syna, wszystko spadło na wdowę, która z mocą ducha niezłomną, wszystkim obowiązkom swoim umiała uczynić zadosyć. Jedyny ten syn Bernard był wszystkich jej starań, pracy celem. Wychowanie jego było najstaranniejsze, nie pieściła go matka, owszem trzymała nawet dosyć surowo, a mimo to samo chłopię i otaczający go pieszczonem je uczynili — Bernard nie był tem, czem by go była matka uczynić chciała, ale serce dobrem było, i na niem, wzdychając, budowała ona — przyszłość całą..

Od więcej roku skończywszy nauki, Bernard zajmował się pod okiem matki i pod jej kierunkiem, gospodarstwem i interesami. Nie miał sobie jeszcze wydzielonego ani oddanego nic, lecz nie zbywało mu na tem cokolwiek istotnie dla młodego człowieka jego wieku i położenia było potrzebnem.

Marszałkowa czuła to że wola, która jest sprężyną życia, nie kształci się inaczej jak używaniem jej, od niejakiego więc czasu zostawiała synowi wiele swobody, zdala tylko poglądając na niego. Czasem czyniła mu jakby uwagę, częściej ubocznemi sposobami starała się nań wpłynąć i pokierować...

— Gdzieżeś był? zapytała patrząc bacznie w twarz Bernardowi...

— Trochę na polowaniu na kaczki — wyjąknął syn starając się zamaskować pomieszanie, a na drodze zatrzymał mnie rozmową pan Kalasanty — dla tego nieco się spóźniłem.

— Kalasanty? podchwyciła marszałkowa idąc zwolna ku kominowi!!.

Zkądże jechał?

— Z Lubary...

— I spotkaliście się gdzie? zapytała.

— Bernard zaciął się nieco — Koło młynka w Słomianej — rzekł nieśmiało.

Wchodzącemu lokajowi kazawszy podać herbatę, marszałkowa podchwyciła.

— Koło Słomianej... proszęż cię, dla czego zawsze polujesz w tej stronie... Wiesz że Fantecki o polowanie jest zazdrośny

— Ja — ja... polowałem dalej na błotach w Zarzeczu..

Zamilkł: — marszałkowa patrzała na dogorywające drewka olszowe — nie powiedziała już nic, po chwili dopiero, pytała znowu:

— Cóż? polowanie się powiodło?

— Nie — nie zabiłem nic — rzekł Bernard.

Być może iż w głosie, w obejściu się syna, w humorze z jakim powrócił, dostrzegła cóś niezwyczajnego marszałkowa, gdyż nic nie mówiąc po kilka kroć spojrzała nań ukradkiem, nie okazując niepokoju — macierzyńskie jej oko zapewne dobadało się w synu jakiegoś stanu niezwykłego. Był zaprzątnięty i roztargniony. Od pewnego czasu dostrzegała często — takiego usposobienia w Bernardzie, lecz przypisując go młodzieńczym fantazyom, unikała wzmianki, pytania, nie podnosiła nigdy złego humoru do znaczenia, którego mu nadawać nie chciała.

Tym razem mocniej ją uderzył wyraz twarzy Bernarda i rysy jego jakby gwałtownie jakiemś świeżo poruszone uczuciem.

Nie powiedziała jednak nic jeszcze.

Podano herbatę, poszła pierwsza do pokoju, w którym ją zastawiono, usiadła na swojem miejscu i wpatrzyła się tu przy większem świetle w pomieszaną istotnie twarz synowską.

— Musiałeś się zmęczyć — rzekła...

— Trochę — odparł Bernard i machinalnie, przysunął sobie jakieś jedzenie.

U stołu nie było nikogo, oprócz panny wystrojonej, nie zbyt ładnej, ale widocznie w wielkich do wdzięku pretensyach i dziwnemi nieco rąk poruszeniami nalewała i podawała herbatę.

Mały, garbaty mocno, z głową spiczastą człowieczek cichy i mało znaczący, gracyalista, który był początkowym nauczycielem Bernarda, zwany panem professorem we dworze, mieszkający w oficynie i stołujący się razem z państwem, siedział w odległym końcu, a że wzrost miał niewielki, głowa jego zaledwie po nad stół sięgała.

Niezaczepiony profesor był milczący i zamyślony, lecz uchowaj Boże by go zagadnięto, puszczał cugle długo hamowanej wymowie, jak nakręcona tabakierka, która nie przestanie grać aż jej sprężyna wyjdzie cała.

Szpetny garb który nosił na plecach a część w piersiach — ściągnął mu w sąsiedztwie przydomek Ezopa.

On, panna Stanisława nalewająca herbatę i krzątająca się około niej, niezapominając niekiedy okiem rzucić na wiszące na ścianie zwierciadło, pani marszałkowa, syn jej i stary chodzący ostrożnie i po cichu pan Mikołaj, niegdy kamerdyner nieboszczyka, stanowili całą ludność jadalni... pod której ścianami cały rząd krzeseł próżnujących świadczył iż się tu czasem liczniej zbierać musiano.

Wszystko w domu dowodziło zamożności, dostatku i smaku. Pierwszy salon miał meble nieco dawne ale kosztowne i piękne, w jadalni pełno było saskiej porcelany, sreber, a w jednym rogu nawet przysłonięty nieco posąg marmurowy, podług starego wzoru, pięknie się na ciemnem odbijał obiciu. Herbata w milczeniu prawie przeszła. Marszałkowa miała zwyczaj raz przynajmniej przy każdem spotkaniu zaczepić profesora, aby mu dać zręczność do wygadania się trochę, profesor Kurdakiewicz był tak do tego nawykły, iż spozierał tylko rychło zostanie zagadnięty... Tym czasem z apetytem gracyalisty, zapijał i zajadał żywo.

— Cóż tam w dziennikach, panie profesorze? zapytała marszałkowa przypomniawszy sobie o obowiązku.

— Pustki, pani dobrodziejko — odparł głosem nauczycielskim deklamując Kurdakiewicz — *vox, vox, praeteraque nihil.* Powtarzanie baśni i wnioskowania na niczem nie oparte... Historyi współczesnej żal się Boże uczyć z efemeryd dzisiejszych... Jeźli do przyszłości one dojdą, o czem sobie wątpić dozwalam, rychlej zaciemnią dzieje niż rozświecą.

Polityka też Napoleona III. prawdziwa zagadka sfinxa...

Uśmiechnęła się pani marszałkowa.

— Jako autora życia Cezara i uczonego męża, wyżej byś go professor cenić powinien — odezwała się cicho.

(d. c. n.)

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Londyn w Styczniu. 1875 r.

Rozwój przemysłu i handlu.—Mrozy nędza i śmiertelność.—Pobyt Ks. Walii w Birmingham.—Wielkie stowarzyszenie nowych Templaryuszy.—Angielscy wolnomularze.—Kwestya emancypacyi kobiet.—Najnowsze książki.—Londyńskie Kolosseum.—Próżności narodowe.—Godła.

(Ciąg dalszy).

Byłbym zapomniał donieść, że jeden z olbrzymich pomników Londynu, sławne Kolosseum czy Kolizeum, które jednak prócz nazwy nic nie ma wspólnego z Kolosseum rzymskiem, ma zniknąć na zawsze z widowni świata. Gmach ten wzniesiony został w r. 1824 a przeznaczeniem jego było pokazywanie panoramy na wielką skalę, i przez dwadzieścia pięć lat z rzędu podziwiano tę olbrzymią panoramę Londynu przedstawioną w dzień i w nocy: dalej panoramy: Paryża, jeziora Thun w Szwajcaryi, oraz cykloramę Lizbony z r. 1755, z najwydatniejszemi epizodami strasznego trzęsienia ziemi. Nawet w najświetniejszych swoich czasach, Kolizeum nie dawało zysków odpowiednich procentom od kapitału wyłożonego na wystawienie gmachu, odmienianie i odświeżanie obrazów i wszelkich przyrządów. Od lat kilku olbrzymi ten gmach świecił pustkami, został też wystawiony na sprzedaż i nabyty przez kilku niechętnych akacynaryuszów, którzy postanowili go zburzyć, a plac częściami rozprzedać pod budowle.

Smutna to wróżba dla pałacu kryształowego, przeniesionego do Sydenham, gdzie zamienił się w pałac ludowy, to jest w miejsce nieustannych widowisk i okazów, nęcących ciekawość ludu.

Pałac kryształowy wtedy tylko mógłby procentować, gdyby corocznie świetnem cieszył się powodzeniem. Wprawdzie administratorom nie brak pomysłowości i żywej wyobraźni, i niekiedy udaje im się ogromne zbierać dochody, ale że nie są stałe nie mogą zapewniać akcyonaryuszom dostatecznej dywidenty, i wielu niecierpliwie domaga się likwidacyi.

Zamiast o teatrze o którym teraz nie ma co pisać, gdyż w tym czasie grywają tu tylko same tak zwane noworoczne sztuki, podam czytelnikom w streszczeniu ciekawy artykuł zamieszczony w jednym z ostatnich numerów „Blackwood Magazine“ p. t. „Próżności międzynarodowe. Godła“.

Wyraz „godło“ w zastosowaniu narodowem, w ogólnem rozumieniu przedstawia chorągiew, jednakże odnosi on się do wielu innych przedmiotów, które także mają lub przynajmniej miały swoje znaczenie. Wyobrażenia zwierząt, rozmaite znaki, różne okrzyki wojenne, tarcze herbowe a nawet i tatuowanie, od najdawniejszych czasów uważane były za symbole odróżniające rozmaite rassy. Jakkolwiek w naszych czasach godła te straciły po większej części na ważności i w ogóle prawie zastąpione zostały przez sztandary, zawsze przecież zachowały swe znaczenie historyczne i ciekawych dostarczają danych.

Ze wszystkich postaci w jakie przyodziewała się duma narodowa symbole, może najlepiej można pojąć i usprawiedliwić. Jest coś dziwnie wzniosłego w takim pomyśle, aby przedstawić godłem godność, potęgę, chwałę wielkiego narodu, i godło to uczynić tarczą i obroną wszystkich krajowców. Jest to zapewnie jednym z objawów próżności ludzkiej, ale bardzo zasługującym na pobłażanie.

Początek tych zwyczajów ginie w pomroce wieków. Archeologowie wykazali, że Egipcyanie najpierwsi nosili w bojach wyobrażenie byków i krokodylów; że każde z dwunastu pokoleń Izraela miało oddzielne swoje znaki, a poddani Semiramidy, na cześć swojej królowej wzieli za godło gołąbka, gdyż imię jej jego właśnie oznaczało. W dawniejszych czasach Ateny przybrały sowę jako hołd dla Minerwy, Korynt konia skrzydlatego przez pamięć Pegaza, Kartagina chcąc pochlebić Neptunowi, głowę końską; Persya słońce, ponieważ lud ten czcił ogień; Rzym orła, dla ujęcia sobie Jowisza. Wszystkie takie godła wyrabiane były z drzewa lub metalu. Sztandary (z wyjątkiem może niektórych okolic Azyi) nie były używane jak około wieku Cezara, jednak dopiero od czasu jak Kostantyn przyjął chrześcianizm, rzeczywistego nabrały znaczenia.

Tu z kolei autor artykułu przechodzi najstarożytniejsze ludy i wymienia ich rozliczne sposoby odznaczania swej narodowości,— ale ciasne ramy korespondencyi nie dozwalają nam rozszerzać się zbytecznie, pomijamy więc czterdzieści-pięć pierwotnych wieków a przechodzimy do Klodoweusza, który zdaje się pierwszy z monarchów Zachodu wywiesił sztandar.

Większość starożytnych pisarzy zajmujących się tym przedmiotem, zgadzają się na to, że Klodoweusz przyjąwszy chrystyanizm wziął za sztandar kapę S. Marcina — ale znowu zdania są podzielone czy to była kapa właściwa czy płaszcz biskupi sławnego biskupa Toruńskiego, czy połowa płaszcza druga, którego święty oddał nędzarzowi czy nareszcie chorągiew jego opactwa. Nawet niektórzy archeologowie utrzymują, że chorągiew ta była niebieska wycięta w trzy zęby, zaś p. Sapet w swej pięknej monografii sztandaru francuzkiego twierdzi, że nie była to chorągiew ale relikwie świętego zachowane w relikwiarzu, który wojsko nosiło wszędzie i wielką czcią otaczało.

Nie ulega jednak wątpliwości, że kapa czy płaszcz św: Marcina nie tylko był pierwszym sztandarem Francyi, ale pierwszą chorągwią uroczyście wywieszaną w Europie zachodniej. Dalej Dagobert wybrał za godło orła i około tego też czasu chrześciańskie ludy, zamiast dzikich zwierząt zaczęły brać za godła krzyż

kwiaty i obrazy świętych, zastąpionych następnie przez tarcze herbowe.

Dotąd ze wszystkich narodów najlepiej i najszczegółowiej opisane są dzieje chorągwi francuzkiej, która zmieniała się kilkakrotnie, a zmiany te odpowiadają głównym epokom dziejów francuzkich.

Pierwsza chorągiew królewska pojawiła się za Karola Wielkiego; nosiła nazwę „rzymskiej“ ponieważ monarcha ten otrzymał ją w Rzymie. Co się z nią stało? nie wiadomo — a miejsce jej zajęła chorągiew Św. Dyonizego.

Saint-Denis jest to opactwo w pobliżu Paryża, które zostało włączone do korony francuzkiej za Filipa I-go i tenże przyjął jego chorągiew. Chorągiew ta po raz pierwszy była wywieszoną uroczyście w 1124, gdy Ludwik Otyły ruszał na wojnę przeciwko cesarzowi Henrykowi V. Od owej chwili chorągiew z St. Denis stała się urzędownie sztandarem królestwa i powiewała przy wszystkich bitwach. Zrobiona była z czerwonej materyi, bez godła napisu.

Gdy jeszcze chorągiew St. Denis jako oznaka pobożności całym jasniała blaskiem, pojawiła się inna osobista i polityczna, błękitna, a na niej złote lilije, i ta stała się sztandarem Francyi. Trudno dziś rozstrzygnąć stanowczo, co było powodem wybrania lilii i błękitnej barwy, oraz kiedy sztandar ten po raz pierwszy się pojawił: to tylko pewna, że Ludwik VII rozwinął go wyruszając na wojnę krzyżową, i że to jest pierwszy narodowy sztandar francuzki. Początkowo liczba lilii nie była ograniczoną, następnie zaczęto wyrabiać ich mniej a w końcu zawsze trzy już tylko. Z upływem czasu inne zaszły zmiany, zaczęto dodawać kolor biały, aż nareszcie cała chorągiew z błękitnej zamieniła się na białą. Pierwszą zmianą było zamieszczenie białego krzyża, jaki dawni wojownicy francuzcy zazwyczaj nosili na piersiach, i krzyż taki był od najdawniejszych czasów wyłącznem godłem Francyi.

Na sztandarze ukazał się pierwszy raz za czasów Karola VII, gdy dziewica Orleańska rozwinęła sławną swoją chorągiew, którą stokroć więcej ceniła niż swoją własną szpadę. Wszyscy dziejopisarze zgadzają się, że wtedy po raz pierwszy rozwinięto białą chorągiew, z wyobrażeniem Bogarodzicy; było to jednak godło czysto religijne a nie królewskie.

Biały Krzyż na chorągwi królewskiej, pojawił się dopiero ku środkowi XV wieku, Z początku zajmował tylko środek chorągwi, lecz powoli ramiona jego, zaczęły zwiększać się i dochodzić aż do brzegów, i chorągiew Francyi stanowiła wówczas krzyż biały z niebieskiemi obwódkami, a na końcach kwiat lilii. Za Henryka IV chorągiew biała została chorągwią domu królewskiego, i odtąd już jest stale chorągwią rodu Bourbonów.

We dwa wieki później, d. 13 lipca 1789, po raz pierwszy gwardya narodowa przyjęła za godło kokardę niebieską i czerwoną; były to kolory miasta i jego municypalności. Nazajutrz nastąpiło wzięcie Bastyliji.

W dniu 7 t. m. Król przybył z Versalu do Paryża, tam w ratuszu mer podał mu nową kokardę i król przypiął ją do kapelusza. Na wniosek La Fayette'a dodano kolor biały, jako dawny kolor Francyi, i ztąd powstała kokarda trójkolorowa. Jednak dopiero w. r. 1790 po gwałtownych, trzy dni trwających sporach, posiedzenie konstytuanty zawotowało chorągiew trójkolorową, a Konwencya w 1794 wyznaczała porządek kolorów. Odtąd chorągiew niebieska, biała i czerwona była sztandarem konsulatu i cesarstwa.

Najpierwszą trójkolorową chorągwią była chorągiew holenderska, gdy w r. 1688 Wilhelm książę Oranii wchodził do Anglii aby zasiąść na jej tronie, miał sztandar oranżowy, a po nad nim kolor czerwony, biały i niebieski.

Prawie wszystkie sztandary narodowe w kolei czasu ulegały zmianie; nawet tak niedawno powstała chorągiew amerykańska, nie jest dziś taką jak była z początku.

Pierwszy sztandar rozwinięty 1 stycznia 1776 r. był trójkolorowy. Składało go 13 pasów, na przemian czerwonych i białych, przedstawiających 13 Stanów Unii, a w rogach krzyże czerwone St. Jerzego i St. Andrzeja, w niebieskiem polu. W r. 1777, postanowieniem Kongresu, dwa krzyże, jako godła angielskie, zostały zastąpione przez 13 gwiazd białych, a następnie liczba ich się zwiększyła.

Po chorągwiach najciekawszemi symbolami są godła heraldyczne. Oto jak autor artykułu opisuje dzieje orła dwój-głowego.

Wielu pisarzy utrzymuje, że Konstantyn pierwszy rozdzielił orła rzymskiego, aby okazać że choć cesarstwo ma dwie stolice, nie przestaje być jednem ciałem — ale twierdzeniu temu zaprzecza fakt, gdyż już na kolumnie Atonińskiej zamieszczono wśród rzeźb orła dwój głowego, a kolumna ta wzniesioną była blisko na sto lat przed przyjściem na świat Konstantyna

W herbie cesarsko niemieckim, orzeł o dwóch głowach ukazał się dopiero w XV-ym wieku. Zygmunt obrany cesarzem przyjął go stanowczo za herb cesarstwa w 1410 r.

Herbem Rossyi jest także orzeł o dwóch głowach.

Wziął go za godło Iwan Wasilewicz, z okoliczności małżeństwa swego z siostrzenicą ostatniego cesarza Konstantynopolitańskiego, jako symbol praw jakie przyznawał sobie do cesarstwa greckiego.

Orzeł niemiecki i rossyjski, jakkolwiek dwój-głowe różnią się jednak od siebie: i kształt ich nie jest zupełnie jednakowy, a nadto orzeł austryacki ma dziób i szpony złocone a u rossyjskiego są one czerwone.

Orzeł pruski zachował kształt dawnego orła rzymskiego i przeszedł do Prus od zakonu krzyżackiego, gdy ostatni mistrz tego zakonu, Albert Brandeburgski przyjął luterianizm i ożenił się, i tym sposobem księztwo pruskie pozyskało czarnego orła i barwy zakonu.

Herb Hiszpanii należy do najdawniejszych; czerwony i żółty kolor chorągwi pochodzi od starodawnych herbów Kastylii i Aragonu, których pola były czerwone i złote. Herb ten sięga początku XIII-go wieku. Alfons Szlachetny, król Kastylii, na pamiątkę zdobytego na Maurach zamku de Ferrail, w r.1212 umieścił zamek w swoim herbie. Inna legenda hiszpańska podaje, że hrabia Barcelony, który został później królem Aragonu, zamieścił w herbie cztery sztaby czerwone, ponieważ Karol Łysy podczas bitwy położył na jego tarczy cztery zakrwawione palce.

Lamparty angielskie przeniósł tam z Lombardyi Wilhelm Zdobywca; początkowo było ich dwa, następnie jeden z Plantagenetów dodał trzeciego i jedni utrzymują że Henryk I. inni że Ryszard Lwie Serce.

Nie wiadomo kiedy i w jakich okolicznościach powstał biały krzyż Sabaudzki; to tylko pewne że odległych sięga czasów.

Herb Szwajcaryi „czerwone sztaby na srebrnym krzyżu“ pochodzi od Schwytz'a który tak godło jak nazwisko swoje nadał Konfederacyi zawiązanej w r. 1315. Powszechnie utrzymują że godło to sięga wojen krzyżowych.

W ogóle rozpowszechniało się mylne mniemanie, że pół-księżyc jest godłem czysto tureckiem; rzeczywiście był godłem Konstantynopolitańskiem i przez cztery wieki symbolem chrześcijańskim. Turcy zastali go w stolicy cesarstwa greckiego i przyjęli za swe godło, ale nie wymyślili go bynajmniej i równie jak Prusacy orła czarnego, tylko go sobie przywłaszczyli.

Niektóre herby prywatnych rodzin są daleko sławniejsze. Jakże to piękny jest herb Krzysztofa Kolumba, nadany mu przez króla Ferdynanda: herby Kastylii i Leonu i srebrne wyspy na błękitnem polu, z dewizą. *Por Castilla y por Leon nuvoe mundo Hallo Colomb.* Rodzina Chateaubriand'a ma w herbie lilije nadane przez Ludwika Św. z tą piękną dewizą; „Krew moja zbroczyła sztandary Francyi.“ Któż nie zna sławnego herbu Montmorency'ch?... Zamienili krzyż biały na czerwony, na pamiątkę krwi przelanej przez Mateusza II w bitwie pod Bouvines, i dodali szesnaście orzełków złotych na pamiątkę tyluż sztandarów, zabranych nieprzyjacielowi przez sławnego konstabla.

Nazwa „Wysoka Porta“ może także być uważana za godło choć od dawna już przestała być rzeczywistością i istnieje tylko z imienia.

Mostadem ostatni kalif z dynastyi Abassides, kazał w bramie swego pałacu osadzić odłamek sławnego czarnego kamienia Mekki. Według prawowiernych mahometan, kamień-ten był pierwotnie biały, i poczerniał tak od grzechów ludzkich. Odtąd brama ta stała się przedmiotem wielkiej czci, i powoli tak pałac jak i zamieszkująca go władza przybrała nazwę „Wysokiej Porty.

Rzadko który naród ma wyłączną, sobie właściwą dewizę, a niektóre z nich po dziś dzień zostały zagadką jak n. p. dewiza Sabaudyi litery F. E. R. T. i dewiza Austryi A. E. I. O. U. Nikt dotąd nie rozwiązał co mają znaczyć. Znaczenie samogłosek austryjackich, tak tłomaczą pisarze angielscy: „Austriau empire is over universe.“ (Cesarstwo austryjackie roztacza się na cały świat) dobrze to obmyślane, ależ dewiza austryacka nie mogła być układana w języku angielskim, Francya nie miała nigdy dewizy narodowej tylko królowie obierali swoje osobiste. Toż samo powiedzieć można o Anglii, gdyż legenda„ Bóg mojem prawem“ jest czysto królewska.

(d. n).

Lwów, w Styczniu.

(Dokończenie).

Także staraniem akademii umiejętności w Krakowie, wydany został tom I pism pozostałych ś. p. Antoniego Zygmunta Helcla zawierający dawne prawa tutejsze prywatne. Sławne nazwisko autora i sam przedmiot książki, stawiają ją w pierwszym rzędzie wszystkich zeszłorocznych publikacyi naukowych. Każda książka traktująca o prawie miejscowem powinna odtąd mieć dla nas podwójnie ważne znaczenie, bo przedmiot skazany został na powolne zaniedbanie. Do niedawna bo do r. 1873 dawne prawo było obowiązkowym przedmiotem dla słuchaczów wydziału prawniczego. Nie egzaminowano wprawdzie z niego kandydatów zgłaszających się do egzaminów, ale każdy słuchacz musiał uczęszczać na wykład prawa, jeżeli chciał uzyskać tak zwane absolutorium t. j. poświadczenie ukończenia studyów uniwersyteckich w wydziale prawniczym. Nadto kandydaci doktoratu prawniczego musieli składać ścisły egzamin. Od r. 1873 zaszła bardzo smutna zmiana. Prawo miejscowe przestało być obowiązkowym przedmiotem, i nienależy już do zakresu ścisłych egzaminów doktorskich. Wprawdzie katedry tego prawa nie zostały zniesione, ale jaką korzyść przyniesie słuchaczowi sam wykład profesorski, jeżeli wzgląd na egzamin nie zmusza go do głębszego studyowania przedmiotu

i poznawania jego literatury? Kto się zapisuje na wykłady prawa tego, czyni to już tylko dla tego, ażeby mieć przepisaną w rozporządzeniach rządowych tygodniową liczbę godzin wykładowych. Trzeba bowiem wiedzieć, że większa część młodzieży uniwersyteckiej we Lwowie i Krakowie, uczęszcza na wykłady tylko o tyle, o ile tego wymaga kontrolą profesorów.

Tem smutniejszą jest ta zmiana, że wyszła na korzyść przedmiotu, który zupełnie nie przyczynia się do uniwersyteckiego wykształcenia młodzieży. Z krzywdy wyrządzonej prawu dawnemu skorzystało prawo niemieckie, które dotąd należało do obowiązkowych przedmiotów egzaminu patentowego, a obecnie stało się także przedmiotem obowiązkowym egzaminów doktorskich. Nie trzeba być uprzedzonym, ażeby zamianę tę nazwać zupełnie niestosowną i niewłaściwą. Stare prawo niemieckie wyniesione na stanowisko osobnej umiejętności, tylko dzięki chełpliwości i pedantyzmowi uczonych niemieckich jest właściwie dziwolągiem, mieszaniną różnych wpływów prawodawczych i nie stanowi żadnego postępu w rozwoju prawodawstwa europejskiego. Nauka tego prawa nie przedstawia żadnych korzyści ani praktycznych ani umiejętnych. Przeciwnie rzecz się ma z nauką prawa dawnego, które w galicyjskich uniwersytetach pozostawić wypadało na dawnem stanowisku, choćby tylko ze względu na odrębność naszych stosunków w obec innych prowincyi należących do monarchii austryjackiej. Zresztą stare prawo ma niezaprzeczoną wyższość nad współczesnem niemieckiem. Są w niem instytucye, będące prawdziwym zaszczytem prawodawczego rozumu minionych pokoleń. Taką instytucyą jest np. dział o prawie hipotecznem i księgach hipotecznych, którego postanowienie prześcignęły prawie w spółczesne przepisy prawne obowiązujące w innych wyżej rozwiniętych krajach europejskich. Dziś, gdy kredyt stał się wszechwładnym czynnikiem ekonomicznych stosunków a księgi hipoteczne jedną z jego podwalin, odnośny dział starego prawa wymagałby nie zbyt radykalnej reformy, ażeby odpowiedział wymaganiom nawet chwili obecnej i potrzebom współczesnym.

Zdawało się z początku, że krzywda wyrządzona prawu dawnemu w krótce powetowaną zostanie. Zaprawem tem ujęli się posłowie w sejmie i w Radzie państwa, ale zabiegi ich nie odniosły pożądanego skutku. Prawo dawne pozostawało obecnie jedynie przedmiotem studyów naukowych dla fachowych znawców, a tych jest u nas tak mało w stosunku do potrzeby, że każda rozprawa o prawie tem, jako pożądana rzadkość staje się podwójnie ważną i cenną pracą naukową.

Księgarz Lwowski Richter wydał już pierwszy tom zbiorowego wydania pism Wincentego Pola. Zaraz po śmierci poety zapowiedziano to wydawnictwo, więc zanadto długo czekaliśmy na tom pierwszy i wcale źle mógłby na tem wyjść wydawca, gdyby następne tomy wychodziły w równie długich przerwach po sobie. Sądząc z pierwszego tomu o całem wydawnictwie można powiedzieć, że będzie ono wcale piękne a nawet okazałe. Ale cena wydaje się nam nadto wysoką i chętnie zgodzilibyśmy się na mniej ozdobną formę zewnętrzną, jeźliby wpłynąć mogło na znaczne zniżenie ceny. Zbiorowe wydawnictwa tylko wtedy osiągają swój cel t. j. jednają sobie szerokie rozpowszechnienie i przynoszą przytem piękny zysk przedsiębiercy, jeżeli cena jest niską. W Niemczech za kilka guldenów można nabyć całą bibliotekę najprzedniejszych dzieł, a u nas zupełny zbiór pism jednego poety kosztować będzie kilkadziesiąt guldenów. Nie chcemy bynajmniej porównywać się z Niemcami i znając dobrze rażącą różnicę, nie wymagamy wcale cudów księgarskiego przedsiębierstwa. Ale skoro ta różnica jest znaną, trzeba się do nich zastosować i unikać wszystkiego, coby wpłynąć mogło na wygórowanie ceny. Wolimy mieć zbiorowe wydawnictwa drukowane w pospolitym formacie i na zwykłym, tanim papierze a za to szeroko rozpowszechnione, niżeli cacka drukarskie spoczywające na półkach księgarskich, a w najlepszym razie zakupowane dla salonów, gdzie leżą z nierozciętemi kartkami.

W drugiej połowie stycznia odebrał sobie życie w Winniczkach pod Lwowem hr. Witold Dunin Borkowski, którego imię znane jest w współczesnej literaturze dramatycznej. Zmarły przeżył zaledwie lat trzydzieści i kilka, więc talent jego nie rozwinął się jeszcze zupełnie i nie ziścił pięknych nadziei, jakiemi powitano pierwszy utwór jego, dramat trzy aktowy „Ofiary“ odegrany przed dziesięciu laty z powodzeniem niezwykłem na scenie lwowskiej. Drugim utworem zmarłego był dramat poważniejszego zakroju „Klementyna Sobieska.“ Oba te dramaty są początkowemi próbami talentu, który znacznie dojrzał i spotężniał w dwóch dalszych utworach „Stosunki rodzinne“ i „Spisek salonowy.“ W sztukach tych autor starał się iść w ślady współczesnych komedyopisarzy francuzkich, najnowszej szkoły. Ze wszystkich utworów przebiegała dążność szlachetna, to też krytyka pochlebnie je oceniła przebaczając autorowi usterki, w które na wstępie zawodu łatwo popada nawet niezwykły talent. ale z których nie mniej łatwo sumiennie pracujący pisarz wyleczyć się może w krótkim czasie.

W „Dzienniku literackim“ którego właścicielem był zmarły hr. Witold Borkowski na samym schyłku wydawnictwa, drukował dość często rozbiory krytyczne i poglądy na ruch literacki we Francyi.

Śp. Witold hr. Borkowski był synem Leszka, który w dziejach galicyjskiej literatury a do niedawna także w zawodzie parlamentarnym wybitną odgrywał rolę; hr. Leszek Borkowski jest autorem „Parafiańszczyzny“ głównej w swoim czasie satyry stosunków galicyjskich, która zjednała mu mnóstwo wielbicieli i przyjaciół ale także i wielu przeciwników. Autor bowiem nie oszczędzał w tym obrazku satyrycznym nikogo, chłostał niemiłosiernie spostrzeżone wady nawet w osobach należących z nim do jednej klasy społeczeństwa. Oprócz tej satyry pisał hr. Leszek Borkowski różne szkice i rozprawki pełne humoru i bystrego poglądu na różne sprawy i stosunki. Zostawszy członkiem sejmu zasłynął hr. Leszek Borkowski świetnym darem wymowy, który dla tego tylko nie wydał praktycznych owoców i nie pozwolił mu stanąć na wysokiem stanowisku, że z każdego słowa przebijała dążność ujemna, satyra a poniekąd nawet uszczypliwość zgryźliwa. Taką samą dążność okazywały pisma polityczne hr. Leszka Borkowskiego to też obudzały one tylko chwilowe zajęcie a zaraz potem zapomniano o nich zupełnie. Od kilku lat hr. Leszek Borkowski usunął się z widowni publicznej a po ciosie tak dotkliwym, jaki obecnie poniósł w skutek śmierci syna, nie ma już i nadziei, ażeby kiedykolwiek wrócił na powrót do zawodu parlamentarnego.

Dr. B. Ł.

Przegląd literacki.

Podwieczorki u Jadzi opowiadania dla dzieci przez Jaskółkę z 6 drzeworytami. Warszawa 1875

Pod tym tytułem dała nam autorka ładną czerwono oprawną książeczkę, składającą się z 6 rozdziałów nazwanych podwieczorkami, z których ostatni zawiera komedyjkę. Podwieczorki są to opowiadania o różnych przedmiotach, któremi dobra panienka Jadzia częstuje odwiedzające ją dzieci, oprócz różnych przysmaczków, stanowiących właściwe podwieczorki, jako pokarm dla ciała. Jadzia mieszka w Wilanowie i tam co niedzielę w czasie sześciotygodniowych wakacyi, odwiedzają ją znajome dzieci z Warszawy, a dobra przyjaciołka dzieci usiłuje ażeby skorzystały one jak najwięcej z jej towarzystwa.

Urozmaicając przysmaki, Jadzia stosuje mniej więcej do nich swoje pogadanki.

Taki jest sam pomysł książeczki, wcale wdzięczny, i plan jej prosty i doskonały. Przypatrzmy się teraz treści podwieczorków.

Pierwszej niedzieli Jadzia opowiada dzieciom o Wilanowie i pokazuje zbiory i osobliwości pałacu, a później dopiero częstuje je czekoladą i przy tem opowiada o roślinie z której otrzymuje się kakao. Co do zbiorów wilanowskich, zrobimy tę jedną uwagę, że może wypadłoby powiedzieć coś i o galeryi obrazów — zwłaszcza o malowidłach i portretach historycznych, o których nie znajdujemy tu nic wcale.

Na drugim podwieczorku, przy poziomkach, Jadzia opowiada swoim gościom o lasach i drzewach, przeważnie krajowych, pokrótce, ale wszelkie niezbędne wiadomości. Napotykamy tu nieco niedokładności lub pomyłek: tak np: jodła różni się od sosny nietylko szyszkami, ale rozkładem gałęzi i igliwia (str 26); meble wyrabiają się z drzewa sosnowego. nie zaś jodłowego (str 27); opowieści zaś o sosnach amerykańskich, w których pniu może się mieścić 140 osób wyglądają na trochę przesadzone (str 28).

Trzeci podwieczorek składały miód i opowiadanie o pszczołkach, wzięte, jak mówi autorka, z angielskich i niemieckich książeczek, istotnie bardzo zajmujące i wielce zaciekawiającym sposobem ułożone. Najlepszy to może z podwieczorków jak i najsmaczniejszym był niezawodnie dla dzieci miodek.

Na czwarym figuruje bryndza, a więc i opowiadanie o Tatrach i góralach. Zdawałoby się nam, że za mało tu o Tatrach, a może za wiele o góralskich ubiorach i obyczajach: te ostatnie jak zwykle w książkach i to jeszcze dla dzieci, przedstawione są w zbyt różowem świetle. Przed laty powiadają, bardziej mogły się stosować owe jasne barwy do rzeczywistych górali, ale, dziś niestety, inaczej. Nie mówi nic również autorka o Pieninach, zameczku Św. Kunegundy, Szczawnicy, Czerwonym Klasztorze, Czorsztynie, a miejsca to tak powszechnie znane i tak pod wielu względami zajmujące, że mówiąc o Tatrach, wypadałoby i o nie zawadzić. Nawiasem mówiąc, bryndza nie jest serem (str 86) a o żentycy trudno powiedzieć ażeby była smaczną (str 93).

Piąty podwieczorek stanowiły pieczone gołąbki i opowiadanie Jadzi o tych ptakach, zwłaszcza o poczcie gołębiej.

Na szóstym podwieczorku stłuczony talerz daje powód Jadzi do przeczytania dzieciom komedyjki o druciarzach p. t. „Jaka praca, taka płaca.“ Jest to podwieczorek ostatni i zdaniem naszem, najsłabszy. Owa bowiem komedyjka jest mniej niż mierną, chociaż założenie jej, oczywiście moralne. Pracowity druciarz Wojtek zbiera dużo pieniędzy, leniwy zaś Franek powraca do domu bez grosza; w samej tej treści, pomijając już tę okoliczność, że wyłącznie pieniężna nagroda pracowitości nie bardzo zaleca się z punktu widzenia pedagogicznego, brak żywiołu dramatycznego czyni komedyjkę nudną? W każdej bowiem komedyjce, choć i dziecinnej, potrzebna jest żywość akcyi, potrzebniejsza może nawet w dziecinnej niż w poważnej tu zaś treść uboga i akcya wlecze się ckliwo. Z tego względu niechby to opowiadanie o druciarzach było prostą powiastką bez pretensyi do dramatyczności, a może nawet wydałoby się lepiej.

Z powyższego przeglądu treści widzimy, że pogadanki „Jaskółki" nie są ułożone systematycznie, nie stanowią pewnej całości, zakresu niezbędnych dla pewnego wieku w tym lub owym kierunku wiadomości, (jak to napotykamy w podobnie obmyślanych płodach zagranicznej dziecięcej literatury): przedmioty tych pogadanek dobrane są raczej przypadkowo, jak same przysmaki „podwieczorków. Nadto, szkoda że autorka nie oznaczyła wieku dzieci, dla których mają służyć jej pogadanki: według naszego zdania, mogą być one przydatne dla dzieci od 6 do 10 lat najwyżej, gdyż takie panienki, jak np. owa Celinka, „która zna się już na obrazach i na stylach architektury, nie znalazłyby już chyba nic nowego w elementarnych wiadomościach, wykładanych przez Jadzię na podwieczorkach.

Pomimo te częściowe usterki, książeczka „Jaskółki" jest dobrą i pożyteczną. Zasługuje ona na to, ażeby rodzice obdarzali nią swoje dzieci i to nietylko na gwiazdkę, ale i w ciągu roku: pożądaną bowiem byłoby rzeczą, mówiąc nawiasem, ażeby nie poprzestawano na kupnie książek dla dzieci raz około nowego roku, jak to w znacznej części ma jeszcze u nas miejsce.

Co się tyczy języka i stylu, autorka — nazywamy ją tak ciągle, ponieważ mianuje się Jaskółką — umiejętnie włada językiem, wyraża się czysto po polsku, stylem jasnym i naturalnym, dla dzieci przystępnym.

Napotykamy wszelako tu i owdzie usterki jak np. takie wyrażenia: „nie mogły się dość *nazachwycać*„ (str. 22); „wszystko *znikło przed oczyma*„str. 54)

Do najpospolitszych błędów należy nieprawidłowe używanie zaimków odnośnie do wyrazów, oznaczających zwierzęta lub rzeczy nieżywotne: błąd to w mowie potocznej bardzo upowszechniony i w podwieczorkach znajdujemy go w bardzo wielu miejscach jak np: „było bardzo dużo drzew ale *ich* wicher powalił" (str.32.) „drewno buku jest ściśle i twarde; cenią *go* tokarze, używane bywa i t. d. (str. 47): „zabijają *ich* bez miłosierdzia „(mowa o gołębiach str. 120)

Gdzieniegdzie znać w stylu jakby pośpiech i ztąd pewne zaniedbanie i brak ogłady.

L. Sz. W.

Przegląd teatralny.

Konneserowie,

krotochfila w 1 akcie przez Jordana.

Autor znanych i cenionych powszechnie: „Wędrówek Delegata" (Patrz tygodnik Ilustrowany z r.1873 i 1874) piszący pod pseudonimem Jordana, zapragnął barwne swoje obrazki prowincyonalnego życia przenieść na scenę, i oblokłszy takowe w dramatyczną formę, przedstawić publiczności. Skutkiem tego, pojawiła się na deskach teatru rozmaitości krotochwila w jednym akcie p. t. „Konneserowie".

W sztuce z której zdajemy niniejszem sprawozdanie, znaleść można wszystkie żywioły do utworzenia wybornego dzieła scenicznego służące: trafność w skreśleniu charakterów, ruch, życie, werwę komiczną, ale żywioły te miasto być użytemi, pozostają materyałem in crudo. W autorze zdaje nam się widzieć architekta, który pragnąc wystawić gmach, zgromadził ze znajomością rzeczy, doborowe drzewo, wypróbowane żelazo, starannie wypaloną cegłę, długotrwały cement, jednem słowem wszystko co do budowy potrzeba, ale roboty swojej jeszcze nie rozpoczął. Od chwili podniesienia kortyny aż do samego końca przedstawienia, publiczność podrażniona podobnie wiernemi typami, jak Granat, młody Dzięciołkiewicz pp. Jędrzej i Stefan i t. d. rozśmieszona naturalnym wprawdzie lecz trochę zanadto rubasznym komizmem pojedynczych ułamków krotochwili, zdaje się oczekiwać jakiegobądź zawiązku intrygi, jakiejkolwiek akcyi któraby przestała być gadaniną, najsubtelniejszej choćby spójni, któraby połączyła owe odosobnione cząstki w jedną całość — napróżno. Sztuka idzie sobie, idzie, idzie — zasłona zapada, a widzowie rozchodzą się z uczuciem niezaspokojonej ciekawości. W Konneserach każdy szczegół wzięty z osobna obrobionym jest artystycznie, każdy typ zaczerpnięty żywcem z natury, ale szczegóły te nie pasują wzajemnie do siebie. Jest to niby muzeum p. Gassnera, w którym wszystkie figury poruszają się dokładnemi ruchy nie dbając bynajmniej o swoje sąsiedztwo. Panowie Jędrzej i Stefan popijają gęstemy hauścikami węgrzyna, biją żyda Aarona, żyd kradnie im czapki, młody Dyonizy Dzięciołkiewicz pijany płaci frycowe szczwanym jarmarcznym lisom, pani Przepałkowska rozprawia o każdej rzeczy ze staro-szlacheckim animuszem, Granat ciągnie ze wszystkiego nieprawe korzyści, a naiwna Franusia dziwi się zapewne nie mało, dla jakiego mianowicie powodu przyprowadzono ją w tyle nieprzyzwoite miejsce, i tak nieodpowiednio dla jej płci, wieku i stanowiska towarzystwo. Konneserów niepodobna nazywać ani krotochwilą, ani farsą a tym mniej komedyą: to istny haos bez początku, końca, treści, celu i przewodniczącej myśli: co więcej wieje tam jakiś nagi, zimny, odrażający realizm — żadnej dodatnej strony, żadnego wdzięcznego szczegółu, żadnej zasady poczciwej ciepłem sercowem tchnącej... Oprócz niezupełnie zepsutego Dyonizego, i prostodusznej lecz nierozwiniętej jeszcze, o ile się zdaje, umysłowo Frani, wszystkie inne cechy w skład jednoaktówki wchodzące, przejęte nowoczesnym materyalizmem walczą zawzięcie o byt środkami niekoniecznie moralnemi. Nawet dwaj przyjaciele pp. Jędrzej i Stefan, w których autor pragnął uosobić typy jarmarcznej szlachty, oszukują się wzajemnie.

Źle się dzieje na świecie, przyznajem, ale żeby gdziekolwiek bądź, nawet na jarmarkach niepodobna było wynaleść ani jednej poczciwej duszy, to już chyba tchnący przesadzoną mizantropiją aforyzm. Nikt z nas z pewnością nie pochwali jarmarcznego życia, ale każdy znowu przyzna, iż na owo zgromadzenie oprócz oszustów, karciarzy, hulaków, przyjeżdżają także zacni obywatele ziemscy, którzy dokonawszy potrzebnego kupna, powracają do swych zagród wiejskich, bez wzięcia udziału w knajpowych tyle wstrętnych dla poważnych i myślących ludzi rozrywkach. Gdyby szanowny autor dla kontrastu przedstawił przynajmniej jeden z dodatnich typów, i w zręcznie poprowadzonej intrydze, dał mu przy rozwiązaniu możność zdarcia maski obłudy z twarzy bezczelnych wydrwigroszów, sztuka zyskałaby na tem niezawodnie, i jakikolwiek cel moralny zostałby osiągniętym; tymczasem owa krotochwila tak jak jest, służyć tylko może ku chwilowej uciesze gawiedzi, bez zostawienia po sobie jakiegobądź przychylnego wrażenia w pamięci wykształconego widza. W każdym razie wyborne choć bez związku dramatycznego materyały, z jakich się składają Konneserowie, daje nam przekonanie że p. Jordan z czasem, przy nabyciu odpowiedniej rutyny scenicznej, może przysługiwać się teatrowi coraz bardziej zadawalniającemi utworami.

Autor posiada niezaprzeczony talent, a to stanowi grunt, podstawę jego dramatycznej przyszłości i nie pozwala nam tracić nadziei, że i to pole może być z pożytkiem przez niego uprawiane.

Artyści wywiązali się z rol swoich z godnem lepszej sprawy powodzeniem. Wszyscy bez wyjątku grali znakomicie, najdrobniejsze nawet, zaledwie naszkicowane przez p. Jordana zarysy (jak np. milczącego gościa w scenie 1) uwydatnione zostały przez ich przedstawicieli z fotograficzną wiernością. Co się zaś tyczy Granata (P. Ostrowski) i Dyonizego Dzięciołkiewicza (p. Szymanowski), to zaprawdę nie możemy znaleść odpowiednich wyrazów do oddania im należnej pochwały, za wzorowe wystudyowanie przyjętych charakterów; każdy ruch, każdy gest, każde wyrzeczone słowo, odwzorowywało utworzone przez autora postacie.

Ogólny efekt przedstawienia psuli kręcący się po scenie figuranci we włościańskie suknie przybrani: osobistości te nie mieszające się w niczem do akcyi sztuki, podobnemi byli tyle do naszych chłopów, ile jest podobną do swego pierwotworu w Muzeum p. Gasnera o nieszmyślnej fizyognomii i wytrzeszczonych oczach figura, mająca przedstawiać, podług brzmienia katalogu, nieszczęśliwą Maryą Antoinettę.

Zwracamy jeszcze uwagę na jedną okoliczność. W początkowych ogłoszeniach dano tytuł jednoaktówce p. Jordana „Konneserzy", później dopiero zmieniono takowy na „Konneserowie." Że początkowy błąd nie wypłynął z winy autora, jesteśmy aż nadto pewni, p. Jordan albowiem poprawnie pisze po polsku. Któż go więc popełnił? Komu znowu zawdzięczamy szczęśliwą myśl zajrzenia do gramatyki, i zmienienia rażącego grubą nieznajomością zasad pisowni tytułu? That ist the question.

Ludwik Niemojowski.

Opis ryciny kolorowej.

Ubranie zimowe na ślizgawkę.

Fig. 1. Suknia nie sięgająca do ziemi, tunika, stanik z obcisłemi rękawami i króciutki obcisły kaftaniczek z szeroko puszczonemi rękawami, są z szafirowego aksamitu. Przybranie dodane ze srebrnych lisów lub innego futra. Kapelusz aksamitny obłożony futrem; wysokie buciki węgierki także futrem objęte.

Fig. 2. Materyał na to ubranie stanowi pół aksamit, flanelka lub popelina zielona. Okrycie spinają podłużne guziki. Futro najodpowiedniejsze jest białe lub jasne. Mufka zawieszona na długim sznurze jedwabnym. Kapelusz z jedwabnego zielonego rypsu, przybrany aksamitem i białem strusiem piórem; w około rondka dane białe podgarnirowanie.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Żabia Nr. 956.*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Druk E. Skiwskiego, w Warszawie, Elektoralna Nr 758 (28 nowy). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.**

Dodatek.

Opis do N. 7.

N. 1. Ubranie na zebrania wieczorowe.

Ryps lub nawet lekka materyja w ciemnym kolorze na suknią i vêtement w jaśniejszym cieniu na rękawy, szarfy i garnirunek, stanowi stosowne ubranie na wieczór, obiad albo wieczorowe wizyty. W miejsce jaśniejszej materyi można użyć na garnirunki tarlatanu lub grenadyny albo nawet białego muślinu, plisy tylko i szarfy powinny być z materyi. Spódnica w suty puf podpięta z tyłu przyozdobiona jest plisowanemi falbankami i szerokiemi podwójnemi plisami; bardzo długa baskina przy przodach, zapinana na guziki, z boków zfałdowana pod kokardami i mała baskina z tyłu, oszyte są nadmarszczoną falbanką i plisą z fałdowanym nagłówkiem. Chusteczka której końce krzyżują się z przodu a z tyłu przerzucają jeden przez drugi, odrobiona być może z koronki albo ze wstawki haftowanej i tiulowego lub muślinowego plisowania.

N. 2. Ubranie wizytowe.

Przedni bryt czarnej rypsowej sukni jest z Matelassé; naszycie jego przykrywają plisy przepinane kokardami. Aksamitny pół wcinany paltocik, ma mankiety z Matelassé a obłożenie z luksów; do zapięcia służą ozdobne szmuklerskie guziki i pętlice z jedwabnego sznura. Kapelusz i mufka aksamitna, obłożone takiem samem futrem jak paltocik.

N. 3. Kołnierzyk stojący robota szydełkowa i tasiemeczka koronkowa.

Narożnik kołnierzyka stanowi tasiemeczka koronkowa zaszyta podług formy i obrobiona z brzegów słupkami szydełkowemi, przedzielanemi 1 o. powietrznem. Pozostały w środku trójkąt zapełniają słupki stopniowanej długości przedzielane 2 o. pow. w samem rogu daje się owalne kółko z 21 o. pow. obrobionych 40 słupkami. Od dołu narożniki oszyte są ząbkami z tasiemeczki koronkowej, obrobionemi na zewnątrz pikotami z 3 o. pow. przyczepianemi 1 o. śc. do tasiemeczki, wewnątrz zapełnionemi owalnemi kółkami z 13—15 o. pow. obrobionych 30 słupkami, a łączonych jedne z drugiemi 5 śc. o. łańcuszka 1 o. śc. przyczepionem do ząbka i znów 5 o łańcuszka. Kołnierzyk stojący zaczyna się wzdłuż 5-ciu karbowanemi paskami ścisłemi, stanowiącemi pasek, obrobiony w górze drabinką ze słupka i takiemi ząbkami jak narożnik. Ząbki górne podwłóczy się kolorową wstążeczką lub aksamitką i podszywa od szyi, plisowaniem z tiulu i muślinu.

N. 4. Kołnierzyk stojący z koronki i z tasiemeczki gładkiej i medalijonowej, zapełnianej kratkami koronkowemi.

N. 5. Narożnik do krawatki. Koronka z tasiemeczki medalijonowej i aplikacyja kwiatów cerowanych na tiulu.

N. 6. Koronka z gładkiej tasiemeczki i z plecionki.



N. 1. Strojne ubranie wizytowe. N. 2. Ubranie wizytowe.

N. 7—10. Imitacyja prawdziwej koronki.

Ryciny 7—10 podają próbki nowego rodzaju, ręcznej imitacyi prawdziwych koronek; jak widzimy na ryc. 7, deseń najpierw wyszywa się cienkiemi koronkowemi pikotami, następnie gdzie dwa rzędy pikotów schodzą się z sobą, trzeba je złączyć luźnemi ściegami, brzegi zaś gładkie łączą się ściegiem krzyżowanym. Listki kwiatków są najpierw wzdłuż zasnute nitką koronkową, a dalej w poprzek przecerowane, tło zaś całe zapełnione kratką paryzką. Na ryc. 8—10, oprócz pikotów koronkowych użyta jest bawełna kłębuszkowa N. 4, do wywodzenia listków cerowanych; oprócz tła z kratek pomiędzy deseniem, użyte są kratki ze słupków dzierganych i okręcanych.

N. 11—12. Koronki irlandzkie z tasiemeczki gładkiej i medaljonowej.

N. 13—14. Koronka i wstawka z odmiennej tasiemeczki medaljonowej.

W kratkę przerabiana, medaljonowa tasiemeczka, wyrabiana jest w kolorze białym, niewarowym i czarnym w trzech rodzajach szerokości. Najwięcej poszukiwana jest czarna włóczkowa, z której przy małej pracy, układać można tak dziś upowszechnione koronki ozdobione dżetem lub perełkami.

N. 15—16. Litery haftowane atłaskiem, do znaczenia chustek. Zobaczyć ryc. 23—24 w N. 8 Tygodnika.

N. 17. Koronka z siatki gipiurowej, do kap wałków pod głowę i t. p.

Koronkę taką robić można gęstszą lub rzadszą, z nici cieńszych lub grubszych, stosownie do przeznaczonego użytku. Z cienkich nici na cienkim wałeczku stanowić będzie ładne oszycie do bielizny.

N. 18. Koszyczek do kluczy albo do roboty na drutach, ozdobiony mozajką leśną.

Najpierw urządza się koszyczek z tektury; denko z nieco zaokrąglonemi rogami ma 19 cent. środkowej długości a 10 szerokości, do niego przyszywa się lub przykleja boki 5—6 cent. wysokie, na które trzeba trochę zwilżyć tekturę, ażeby lepiej dozwoliła się wygiąć i dopasować. W środek daje się kolorową, kaszmirową podszewkę, która zarazem pokrywa przyszycie pałączka, mającego 23 cent. długości a $1 \frac{1}{2}$ szerokości oklejonego orzechowym papierem. Wierzch koszyczka zdobi mozajka leśna; która tem będzie piękniejszą im rozmaitsze i lepiej dobrane będą nasiona. Jeżeli koszyczek służyć ma do kluczy, brzeg oszywa się tylko riuszą, do robótek dodać można ściągany woreczek z tego samego co podszewka materyjału.

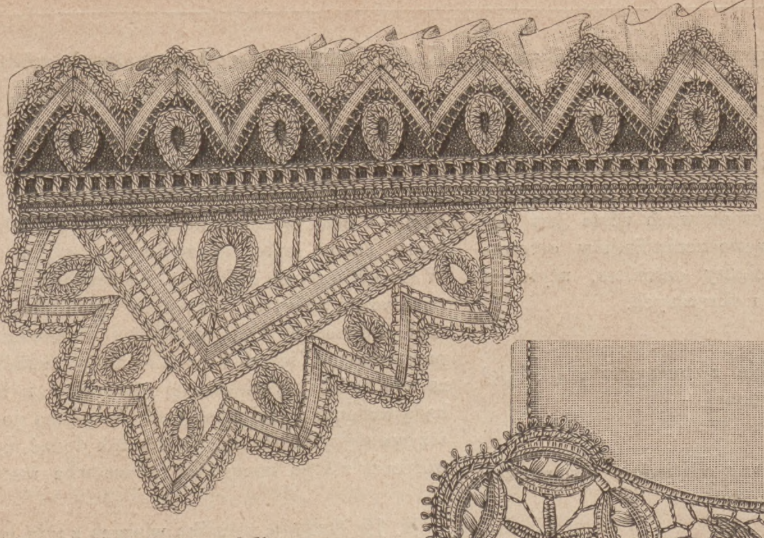
N. 19. Suknia z tuniką wiązaną z tyłu na kokardy.

Popelina jedwabna i aksamit w ciemniejszym cieniu tego samego koloru, użyte są na to strojne ubranie. Dwie aksamitne popeliną objęte kokardy, łączą z tyłu tunikę, gładko przystającą z przodu. Spódnica w dwie małe bufy przepięta z tyłu, z przodu oszyta jest aksamitnym i popelinowym wolantem, bardzo mało nadmarszczonym. Na rękawach dodane ubranie odpowiadające krojowi tuniki.

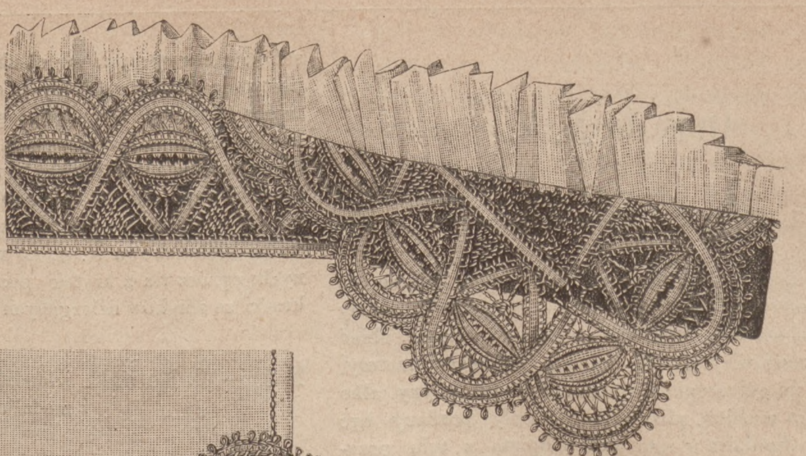
N. 20. Suknia z tuniką fartuszkową, trenem ułożonem w fałdy i jedną szeroką szarfą.

Suknia z długim trenem z czarnego jedwabnego rypsu ma trzy tylne, 60 cent. szerokie bryty ukrojone prosto, w górze zfałdowane w potrójne kontrafałdy, 54 cent. od dołu przeszyte i przymocowane od spodu do paska 63 cent. długiego, a dalej luźno puszczone. Skośno ścięty bryt przedni przykrawa się z mocnego wełnianego materyjału, na którym dopiero układa się garnirunek, wskazany na ryc. 20. Od dołu podszywa się jeszcze szeroką listwę ze sztywnego muślinu; przedłużone do trenu tylne kliny, pokrywa się od dołu gładko materyją, na całym zaś przodzie naszywają się płaskie bufy, przedzielane 6 cent. szerokim garnirunkiem przemarszczonym i zakończonym po brzegach podwójnym nagłówkiem. Potrójną tunikę z przodu kraje się w trzech oddzielnych częściach, część górną mającą 53 i środkową mającą 20 cent. środkowej szerokości, oszywa się plisowaniem 8 cent. szerokiem i przyszywa do wełnianej podszewki. Część ostatnią 23 cent. szeroką, także plisowaniem oszytą, puszcza się luźno od dołu. Boki tuniki są zfałdowane i wszyte w listewki 38 cent. długie przyczem plisowane falbanki schodzą się prawie a fałdy z przodu zakładają się w ten sposób, iż tunika zdaje się być przykrojona w całości.

Szarfa 130 cent. długa a 56 szeroka, podszyta sztywnym muślinem i oszyta frendzlą u dołu, jest założona w 5 fałdów i przyszyta z prawego boku, 5 cent. od górnego brzega spódnicy, następnie przeprowadzona skośnie przez bryty tylne, przepięta podłużnym węzłem i przymocowana do szwa bocznego na 85 cent. od dołu. Krótka w zęby z tyłu wycięta baskina, oszyta podwójną wypustką ze sznureczkiem, dopełniona jest od spodu podszytem plisowaniem, które ma 18 cent. środkowej, a 7 bocznej szerokości. Z przodu baskina oszyta jest frendzlą z perełkami. Wierzchnia strona rękawów jest wzdłuż przymarszczona i ozdobiona na szwie odpowiednim spódnicy garnirunkiem; przy gład-



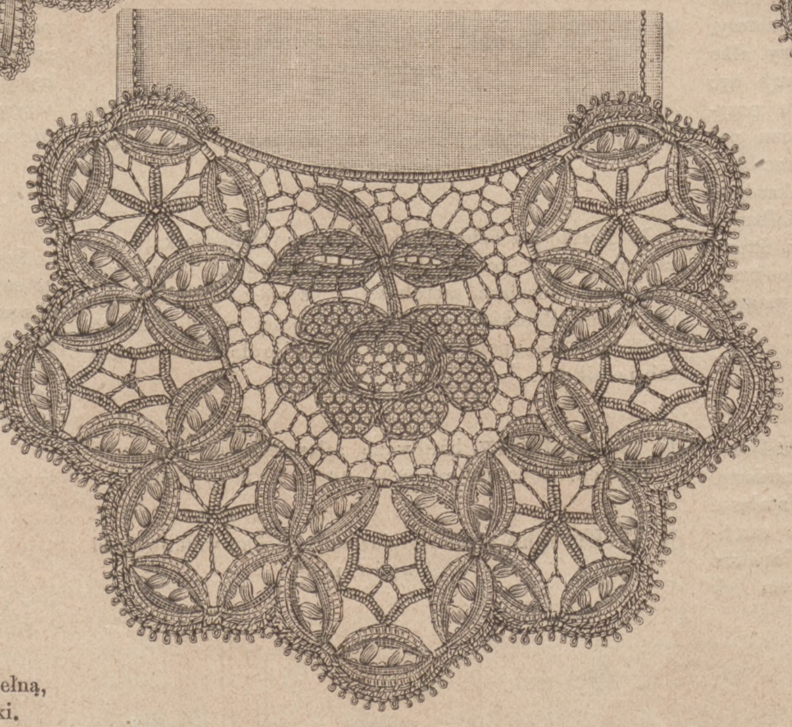
N. 3. Stojący kołnierzyk. Robota szydełkowa i plecioneczka.



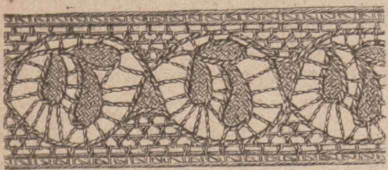
N. 4. Stojący kołnierzyk. Irlandzka koronka z gładkiej i medaljonowej plecionki.

kich, w ząb wyciętych mankietach, dana podwójna wypustka ze sznureczkiem.

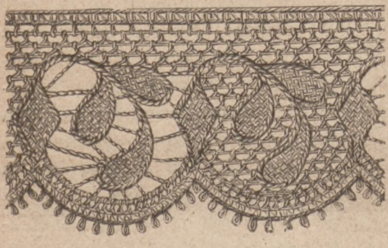
N. 21—24. Szlak na krzesło, portyjerę, poduszkę do okna lub t. p. Robota krzyżowa i pasy sukienne.



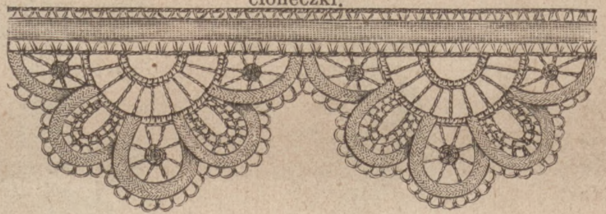
N. 5. Zakończenie krawatki. Robota koronkowa z plecioneczki.



N. 8. Wstawka. Plecionka z pikotami wyszycie bawełną, dzierganie koronkowe z nitkami okręcanemi i słupki.



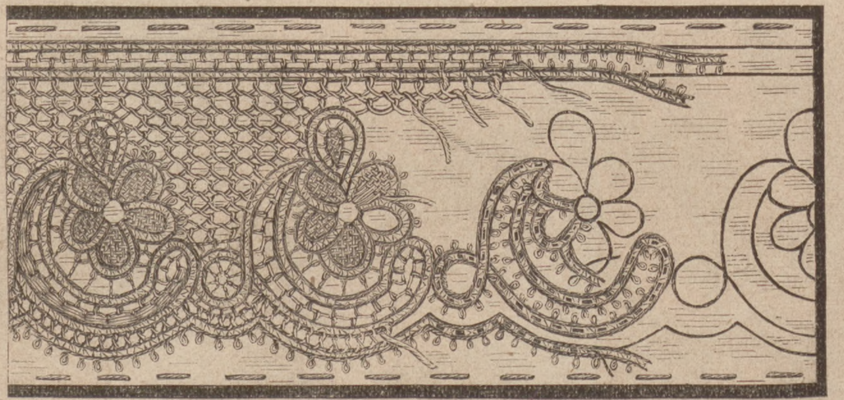
N. 9. Koronka. Ten sam sposób roboty co na ryc. 8.



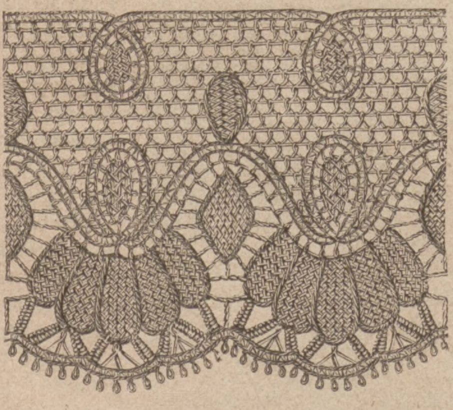
N. 6. Irlandzka koronka.

Materyjał: kanwa koloru écru, ciemno-brązowa włóczka, jaśniejsza filozela i najjaśniejszy jedwab brązowy. Pasy 4-ry cent. szer. ciemno-brązowego sukna, rypsu, albo aksamitu.

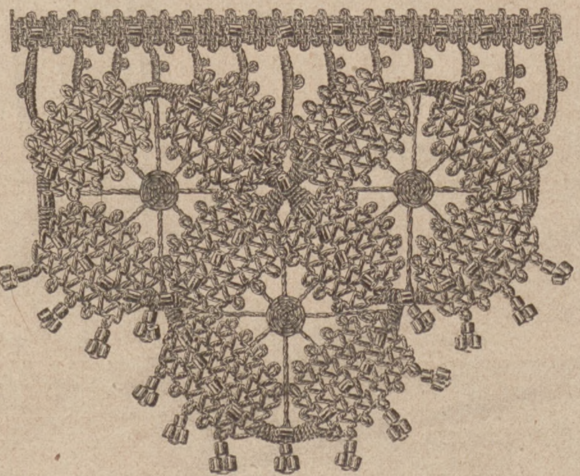
Tło pasów stanowi kanwa żółtawo niewarowa; do odrobienia zaś deseniu użyta była na modelu filozela i włóczka w kolorze brązowo drzewnym; z tych włóczka ciemniejsza oznaczona jest na ryc. 22 i 23 kolorem czarnym, a filozela jaśniejsza gwiazdkami. Cały szlak składa się z trzech pasów roboty kanwowej i dwóch 4 cent. szerokich pasów sukna lub aksamitu; pas środkowy odrobić trzeba podług ryc. 22, a dwa końcowe podług ryc. 23. Sukno naszywa się na kanwie ściegiem krzyżowanym, jedwabiem najjaśniejszego cieniu. Cały szlak miał 30—32 cent. szerokości. Ryc. 24 podaje właściwą grubość kanwy.



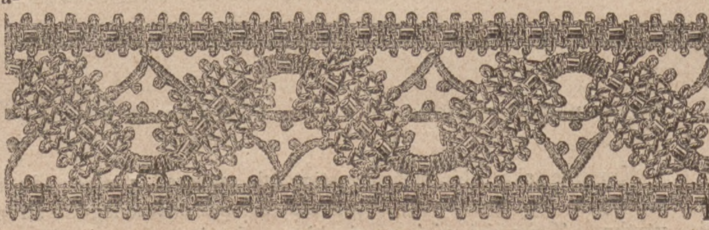
N. 7. Koronka wyszywana. Pikoty fabryczne i dzierganie koronkowe. Patrz także ryc. 8—10.



N. 10. Koronka. Sposób roboty wskazany na ryc. 7.



N. 13. Irlandzka koronka z szerokiej medaljonowej plecionki.

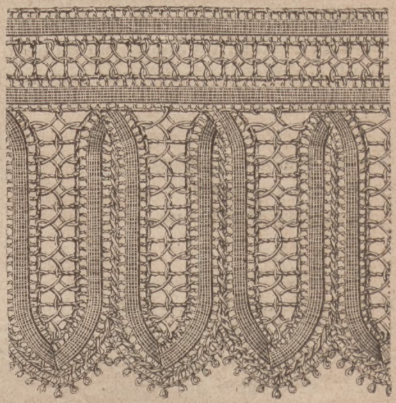


N. 14. Wstawka odpowiednia do ryc. 13.

N. 25—28. Cztery kapelusze.

Wszystkie cztery modele kapeluszy, pochodziły z jednego z najwięcej renomowanych magazynów paryzkich, a jeżeli nie lekkością i wykwintnym gustem, to odznaczały się oryginalnością pomysłu. Do wszystkich mogą być dodane wstążki do wiązania.

N. 25. Kapelusz z rondem naszytem perełkami.

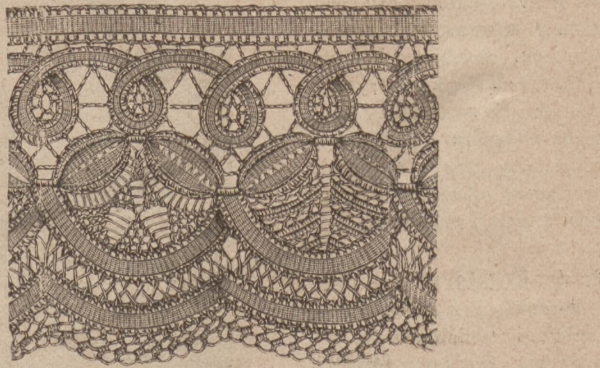


N. 11. Irlandzka koronka z gładkiej plecioneczki.

Sute kokardy i szerokie końce, stanowiące ubranie kapelusza, upięte być mogą z kolorowego szalika albo ze wstążki. Ptak z różno-kolorowemi piórami, umieszczony z przodu nad rondem. Podpięcie ze skośno ciętej materyi zakłada się w potrójną fałdę i zakończa z boku kwiatami.

N. 26. Kapelusz z wysoką główką.

Z przodu kapelusz przybrany jest wysoko stojącemi puklami z aksamitu, ptaszkiem kolorowym i czarnem strusiem piórem. Podpięcie ronda i długo z tyłu spuszczone kokardy i końce są z kolorowej wstążki i kwiatów.



N. 12. Irlandzka koronka z gładkiej i medaljonowej.

N. 27. Kapelusz z dyjademem.

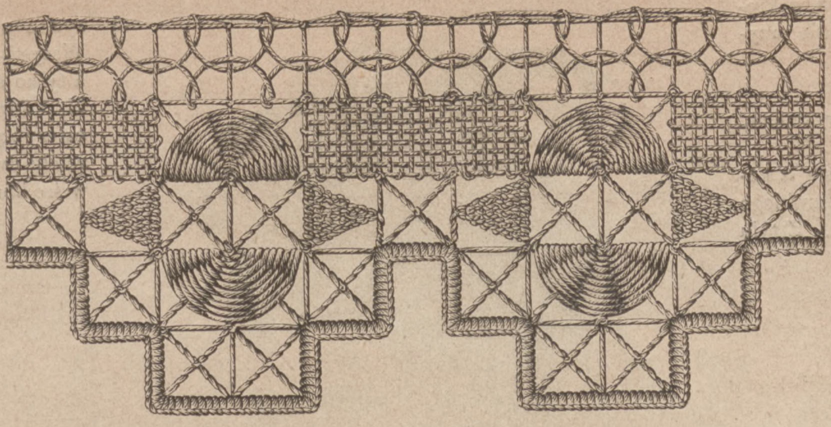
Przy czarnym aksamitnym kapeluszu, ubranie jest z materyi i krepy jedwabnej blado różowego koloru. Brzegi obrąbka, końcy i kokard krepowych, naszyte są czarnemi perełkami. Ptak ciemny i różowe pióra i kwiaty dopełniają sutego ubrania.

N. 28. Kapelusz z bufowaną główką.

Filcowe rondko kapelusza, podszyte jest materyją takiego samego koloru, z której także daje się bufowaną

główkę i niezwykłe upięcie z tyłu. Wstążka na końce i podpięcie ronda a nawet kwiaty dobrane były w tym samym co kapelusz kolorze.

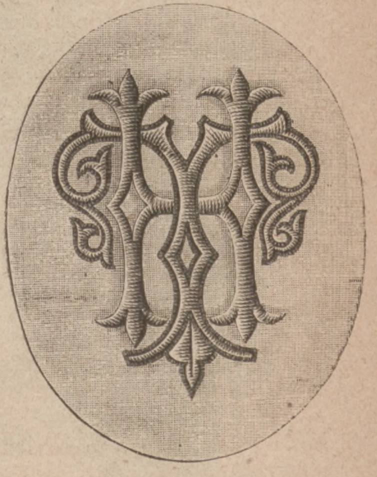
N. 29—30. Ubranie głowy z długo z tyłu opuszczonemi warkoczami i strzałą ze szmelcowanej stali.



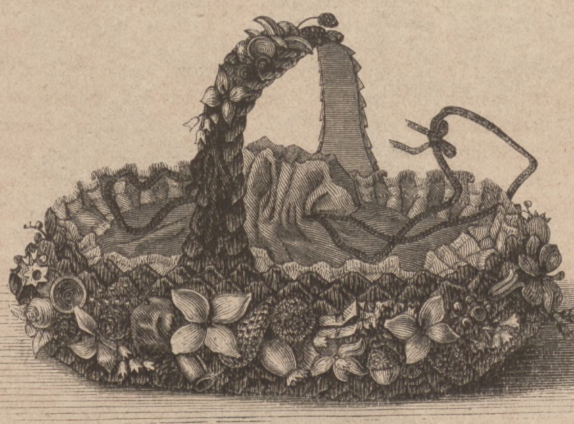
N. 17. Ząbki gipiurowe.



N. 15. Litera na chustkę od nosa.



N. 16. Monogram na chustkę do nosa.



N. 18. Koszyczek ozdobiony mozajką leśną.

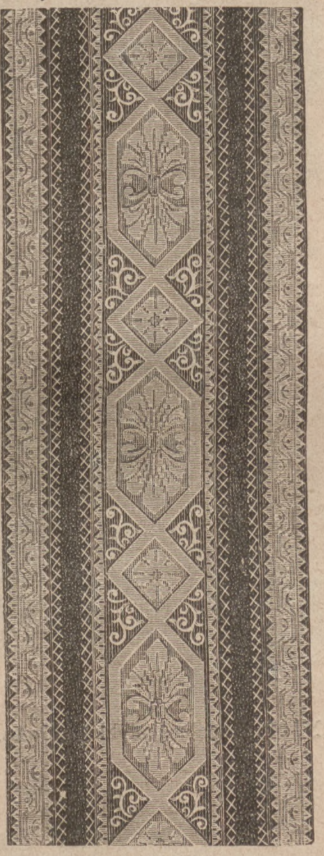
Ryc. 29—30 przedstawia z przodu i z tyłu bardzo ładne i dla młodych osób właściwe uczesanie włosów, które nawet bez pomocy fryzyjera łatwo wykonać, posiłkując się przypiętemi warkoczami, przy niewielkiej obfitości włosów własnych. Ryc. 30 przedstawia oprócz tego pelerynkę z białego atłasu, przepikowaną w maszynie i oszytą w koło puszkiem łabędzim, pomiędzy który w równych odstępach wpinane są pączki różane. Szalowy wykrój pod szyją podgarnirowany jest 4 cent. szeroką falbanką z podwójnego atłasu.

N. 31. Kokarda do włosów, ze wstążki, koronki i kwiatów.

Walansjenka 4 cent. szeroka, naszyta jest między kokardami z czarnej 7 cent. szerokiej



N. 19. Suknia z tuniką spinaną kokardami.



N. 21. Haft na szlak do mebli, portyjer i t. p. Patrz ryc. 22—24.



N. 20. Suknia z fartuszkową tuniką, fałdą wachlarzową z trenem i szeroką szarfą.

wstążki i w koło małego kółka ze sztywnego tiulu, na którym upięte są kokardy, ożywione gałązką kwiatów różowych lub pąsowych.

N. 32. Kokarda z aksamitu i wstążki z motylem koronkowym.

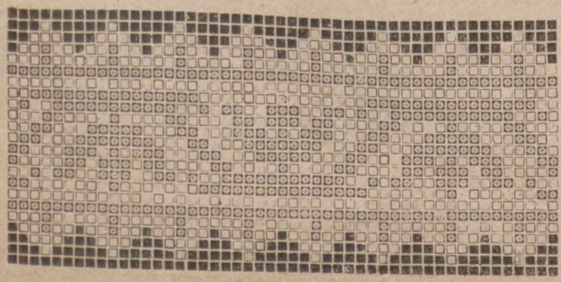
Kokarda ta ułożona była ze skośnie ciętego, 7 cent. szerokiego fijołkowego aksamitu i równie szerokiej, lila rypsowej wstążki, motyl z prawdziwej białej koronki, wpięty był pomiędzy kokardy. Wzory motyli cerowanych na tiulu lub z tasiemeczki koronkowej i kratek, podawaliśmy w roku zeszłym.

Opis do N. 8.

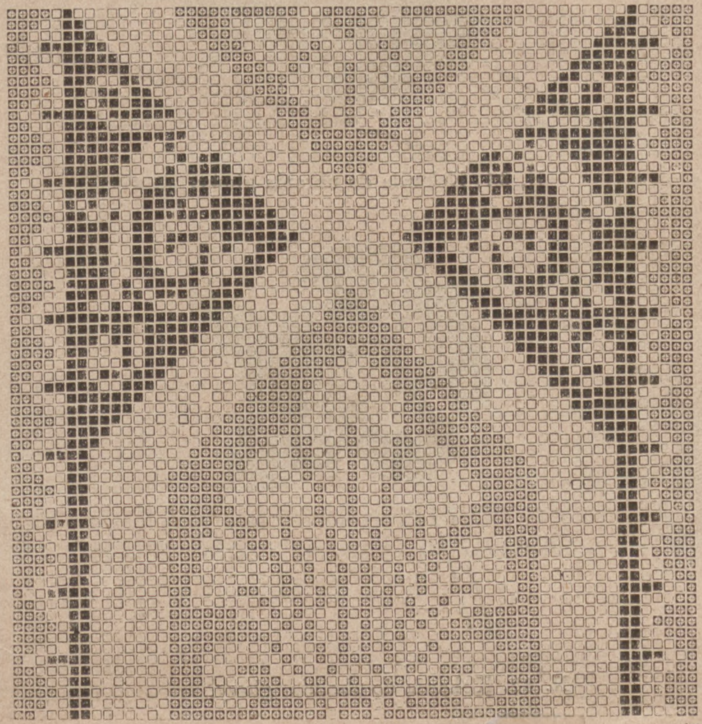
N. 1—3. Modny garnitur złożony z medaljonu, broszy i kolczyków.

N. 4—5. Chusteczka muślinowa.

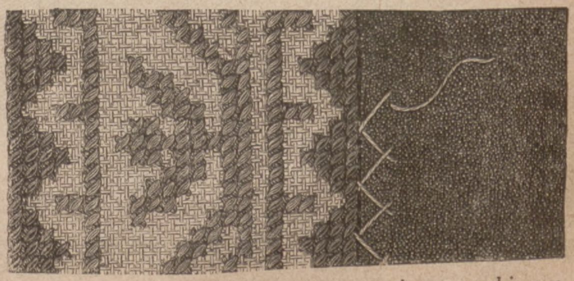
Plecy chusteczki odszytej z muślinu i wstawki 3 cent. szerokiej, założone są w podwójną wachlarzową kontrafałdę, środkiem podniesioną przez co u dołu rozkłada się w dwa końce, jak to ryc. 4 wskazuje. Przody spuszczające się nakształt baskiny, są z muślinu założone przez całą długość w trzy fałdy, przedstawione na ryc. 5. Brzeg chusteczki podciętej w ząb na ramionach, otacza 3 cent. szeroka wstawka i 6 cent. szeroka koronka, naddana tylko na rogach zębów, dalej przyszyta gładko. Wzdłuż górnego brzegu chusteczki podszyty jest pasek muślinowy 37 cent. długi, w środku 3 cent. szeroki, ku brzegom prawie spiczasto założony, na którym naszywa się przy wykroju szyi fałdowana koronka, po za tą idzie riusza z kolorowej wstążki rypsowej, 7 cent. sze-



N. 23. Deseń na pasek brzeżny do szlaku ryc. 21.



N. 22. Deseń środkowego pasu do szlaku ryc. 21.



N. 24. Wyszycie ściegiem krzyżowym i pas sukienny do ryc. 21.

rokiej, układana w potrójne kontrafałdy. Po za wykrojem szyi wstążka spuszczona jest gładko a w pasie przyciśnięta kokardą.

N. 6. Koronkowa chusteczka z kwadratowym wykrojem.

Formę i zarazem podstawę chusteczki wycina się z kawałka czarnego tiulu 44 cent. długiego a 22 szerokiego w którym od środka dopasowywa się wykrój szyi. Z tyłu



N. 25. Kapelusz z rondkiem przyozdobionem perełkami.



N. 26. Kapelusz z wysoką główką.

chusteczka jest formą kołnierza marynarskiego 15 cent. szerokiego, z przodu jak to widać z ryc. 6 dany jest prosty, kwadratowy wykrój. Wstawka koronkowa 3 cent. i koronka 5 cent. szeroka, wszyte perełkami otaczają brzegi dolne chusteczki, brzeg środkowy oszyty jest 2 cent. szeroką koronczką w zęby. Podwójna plisa z kolorowego rypsu przykrawa szwy na chusteczce, spiętej rypsową kokardą. Wykrój sukni otacza biała illuzyjowa riusza fałdowana w potrójne kontrafałdy, w miejsce krawatki związana jest wstążka rypsowa 6 cent. szeroka.

N. 7—8. Naszyjnik z gwiazd z perełek.

Naszyjnik związany z tyłu na aksamitkę, składa się z 12 gwiazdek, odrobionych na cieniutkim, przepalonym drucikum z perełek dżetowych. Poniżej gwiazdek spada frendzla z perełek. Wielkość gwiazd zmniejsza się stopniowo, ryc. 8 przedstawia jedną z czterech środkowych gwiazd. Wszystkie gwiazdy mają brzegi wykończone jednakowo, a tylko środki zmieniają się stosownie do wielkości gwiazdki. Dwie idące po 4 środkowych, mają w środku tylko cztery ząbki po 6 perełek, przyczepione do kółka z 8 perełek; dwie końcowe rozety odpowiednio zmniejszone mają w środku tylko krzyżowanie z 12 perełek. Gwiazdki ażeby dobrze leżały na szyi, spajane są między sobą od góry jedną, u dołu dwoma perełkami wszywanemi między środkowemi ząbkami. Frendzla przyrabia się na mocnym kordonku, zakończając każde wisiadełko trzema, stopniowej wielkości perełkami. Do wiązania potrzeba 120 cent. aksamitki, 2 cent. szerokiej.

(d. c. n).



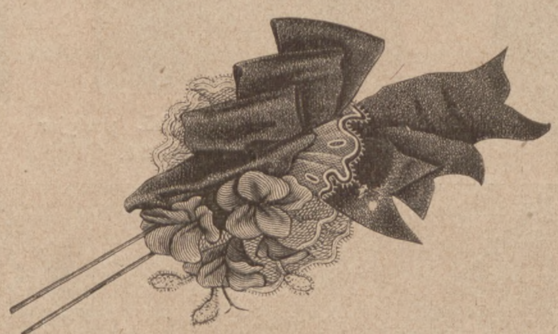
N. 27. Kapelusz z dyjademowem podpięciem.



N. 28. Kapelusz miękką główką.



N. 29. Uczesanie w warkocze. Patrz ryc. 30.



N. 31. Kokarda do ubrania głowy.



N. 32. Kokarda do ubrania głowy.



N. 30. Uczesanie w warkocze Przód do ryc. 29.